№ 10. Warszawa, dnia 7 Marca (23 Lutego) 1885 r. Rok V.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Zielna Nr. 7-a.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych; w Petersburgu w Księgarni H. Glińskiego, Plac Kazański Nr. 7.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ.

Skutkiem niespodziewanego zapotrzebowania i sprzedaży cząstkowej w zeszytach, pierwsze dwa tomy **Głównych prądów literatury XIX wieku** J. Brandesa zostały bądź wyczerpane, bądź tak zdefektowane, żeśmy wielu żądaniom odmówić musieli. Ponieważ żądania te obecnie wzrosły i coraz częściej wychodzą ze strony naszych abonentów, postanowiliśmy brakujące arkusze przedrukować i tym sposobem uzupełnić całe dzieło. Ażeby zaś cenę jego uprzystępnić, zniżamy ją do możliwej granicy, mianowicie wszystkie *cztery tomy, zawierające 76 arkuszy druku zamiast 6 rs. k. 50, kosztować będą rs. cztery* (z przesyłką pocztową rs. 4 k. 50).

Tom I uzupełnimy i roześlemy 1 kwietnia, tomy II, III i IV w połowie kwietnia r. b. O wczesne zapisy i składanie przedpłaty prosimy chcących korzystać ze sposobności taniego nabycia tak znakomitego dzieła, którego cenę później przywrócimy do poprzedniej wysokości, zwłaszcza że nawet po skompletowaniu liczba egzemplarzy będzie bardzo ograniczoną.

Uwaga. Ponieważ sprzedaż tomów pojedynczych psuje nam całość dzieła, nie możemy więc ich odstępować za cenę zniżoną, lecz dotychczasową, mianowicie: tomy I, II i III po rs. 1 k. 50, IV zaś rs. 2.

Przypominamy również zbliżający się termin kwartalnej przedpłaty na *Prawdę*.

NOWA ETYKA.

Ludzie odpowiednio utalentowani niech co prędzej piszą farsę. Wątek gotowy — a pyszny!

W połowie sierpnia 1879 r. asystent wydziału lekarskiego w Monachium dr. Schweninger za ciężkie przestępstwo przeciw obyczajności publicznej, spełnione na cmentarzu, został skazany przez sąd na 4 miesiące więzienia. Odpokutowawszy tę karę opuścił on natychmiast swoje stanowisko i znikł przed ścigającą go opinią. Nagle rozbiega się wieść, że dr. Schweninger został nadwornym lekarzem ks. Bismarka, że go wyleczył i że za to otrzyma katedrę dermatologii w uniwersytecie berlińskim. Pogłosce tej z początku nikt nie wierzył, gdyż ustawodawstwo pruskie jest bardzo surowe względem moralności urzędników i właśnie wówczas usunięto kilku za wykroczenia daleko mniejsze. Art. 22 konstytucyi wyraźnie orzeka: „Każdy może uczyć, zakładać szkoły lub kierować niemi, kto odnośnym władzom państwowym wykazał swoje uzdolnienie *moralne*, naukowe i techniczne." Jak zaś surowo stosowano ten przepis, wskaże kilka przykładów. W Królewcu usunięto bardzo zasłużonego profesora wydziału lekarskiego Möllera za to tylko, że zwołał zgromadzenie wyborcze postępowców i przewodniczył mu. Inny znowu sądownik dostał dymisyę za to, że bronił swej oskarżonej żony. Ale nie sami urzędnicy podlegają takiej surowości. Przed dwoma laty uchwalono prawo, zabraniające trudnić się kramarstwem każdemu, kto był skazany na więzienie dłuższe, niż trzy miesiące. Nawet studenci, dotknięci taką karą, tracą wstęp do wszystkich uniwersytetów. Czyż więc podobna — myślano — ażeby państwo, które wypędza profesorów za wiece wyborcze, prześladuje karanych sądownie kramarzy i wydala studentów — powierzyło katedrę i przewodnictwo młodzieży człowiekowi, skazanemu za przestępstwo obyczajowe na 4 miesiące kozy?

Tymczasem 23 lutego w sejmie pruskim rozpoczęła się dwuaktowa farsa, dla której Offenbach z grobu wstać powinien, ażeby ją godnie uczcić. W budżecie ukazała się pozycya 3,900 marek „dla profesora dermatologii." Naturalnie lewica sejmu rozpoczęła obrady gwałtownym atakiem na rząd za tę poniewierkę zasad moralnych. Blady, osmagany szyderstwem i naganą minister oświaty Gossler powstał z krzesła, ażeby wytłomaczyć się z tej nominacyi, za którą przyjął odpowiedzialność. Jego mowa pozostanie wieczną pamiątką zdeptania sumień i charakterów przez ks. Bismarka. Nieprawdopodobny, ledwie możliwy do pojęcia wywód ministra podajemy w dosłownym przekładzie. P. Gossler nie zaprzecza, że dr. Schweninger shańbił się, że ma „moralny defekt," że takich ludzi państwo nie może przyjmować na urzędy i musi usuwać, ale... słuchajmy: „Ów doktór położył wielką zasługę, wyleczywszy kanclerza. Ks. Bismark dawał wielu słynnym lekarzom sposobność wykurowania go; żaden z nich jednak nie dokonał tego; zważywszy zaś, w jaki sposób to zadanie musiało być rozwiązanem, należy się dziwić, że znalazł się ktoś, co tę pracę podjął. Trzeba było być świadkiem tej niezmordowanej i czujnej pieczy nad wszystkimi objawami życia pacyenta, ażeby zrozumieć, co to znaczy. Liczę to owemu doktorowi za wielką zasługę, że on umiał zapanować nad takim chorym i skłonić go do uległości... Chodziło o to, jak zatrzymać w Berlinie człowieka, który jedynie może zachowywać przy zdrowiu naszego wielkiego męża stanu? Gdybyście panowie, mając moją głowę, rozbili ją sobie, nic wymyślilibyście nic lepszego. Py-

tanie było proste: co jest dla publicznego życia Prus korzystniejszem: czy pozbawić wielkiego męża stanu lekarza, którego on potrzebuje, czy też narazić się przez oddanie mu katedry na nagany w łonie wydziału i po za nim? Gdyby było możliwem tego doktora jakkolwiek w złoto opakowanego tu zatrzymać, niewątpliwie bylibyśmy to zrobili, ale, niestety, jego duma nie jest zwrócona na skarby zewnętrzne.“ Chciał koniecznie i tylko — zostać profesorem.

Zbierzmy wszystko to we wniosek: ponieważ dr. Schweninger zdołał wyleczyć kanclerza i potrzebny mu jest, chociaż więc ani prawa państwowe, ani moralne nie pozwalają powierzać katedry kryminaliście, trzeba było go zamianować profesorem, gdyż pod tym tylko warunkiem zgodził się zostać w Berlinie. Gdyby był zażądał codzień jednej cudzej żony dla doświadczeń z cmentarza monachijskiego, przyrzeczono by mu taką ofiarę, gdyż ona jest „korzystniejszą dla Prus,“ niż „bezwzględna etyka.“ Trzeba to widzieć, słyszeć, lub czytać, ażeby uwierzyć. „Tu koniec deptania opinii publicznej“ — rzekł Virchow.

Wcale nie koniec. Ks. Bismark zna swój naród i wie, dokąd jego opinią gardzić można. Gdy w dwa dni poseł Stern wystąpił z wnioskiem odmówienia kredytu na katedrę dermatologii, opozycya sejmowa wybuchnęła całem oburzeniem. „Przeczę — zawołał Hänel — ażeby minister działał prawnie; oskarżam go, że zgwałcił ustawy kraju. Prawo dyscyplinarne wymaga, ażeby urzędnik był moralnie nieskazitelnym. Tak, czy nie?“ — spytał prawicę. Ale ta znikczemniała czereda nie miała odwagi usłuchać swego sumienia i uspokoiła je wykrętem, że przyznaje pensyę profesorowi dermatologii bezimiennie, a odpowiedzialność za właściwy wybór pozostawia władzy wykonawczej. I co powiecie, pomimo tej burzy, pomimo odczucia gwałtu, dr. Schweninger otrzymał swoją posadę dzięki głosom konserwatystów i narodowo-liberałów. Po takiej chłoście, wzgardzie, wymysłach, policzkach — rozpocznie on wykłady. Ta bezwrażliwość jest moralną miarą człowieka. Zaiste, przyszły historyk Niemiec, który nie uprzytomni sobie całego byzantynizmu wobec Bismarka, nie zrozumie tej karty ich dziejów. Przypomni zaś chyba tę kartę potomności nie Schiller, ale Heine.

Jak tam wszystkie charaktery zmiażdżone potęgą jednego człowieka, dowodem ów minister, który wolał zamianować profesorem kryminalistę, niż oprzeć się wszechwładnemu kanclerzowi. „Dla żadnego z ministrów pruskich — rzekł Stern — „a. D.“ (*ausser Dienst* — nasze *b.* — były) nie byłoby takim *epitheton ornans*, jak dla p. Gosslera.“ Niestety, p. Gosslera nie nęciła ta „ozdoba.“ I słusznie. Po co być moralnym — zauważył Virchow — kiedy lepiej być „potrzebnym“ dla kanclerza? Według takiej zasady będą się kształcili uczniowie dr. Schweningera.

Straszna ironia! Na tem samem posiedzeniu sejmu ten sam minister piorunował przeciw polakom za to, że niemcami być nie chcą, a na dowód rewolucyjności i występności duchowieństwa poznańskiego przytoczył, iż biskup sufragan w poufnej korespondencyi do arc. Ledochowskiego nazwisko Marwitz pisał z końcówką *cz.*

Oto jest „defekt moralny“ oburzający p. Gosslera i uprawniający prześladowanie narodu, a nie to, co tam dr. Schweninger na cmentarzu popełnił. Tego „defektu“ polacy nie zgładzą inaczej, tylko gdy się staną kanclerzowi „potrzebni.“ Wtedy każdy z nich mógłby zająć katedrę dermatologii.

Rzeczywiście, poseł Stern słusznie zauważył: trudno nie pisać satyry. Czemuż umarł — Offenbach!

Walka o mienie.

Pod powyższym tytułem pojawiła się zeszłego roku w języku czeskim, a obecnie w tłómaczeniu niemieckiem *) książka, napisana przez znanego w życiu publicznem Czech d-ra F. L. Chleborada. Autor nie należy ani do cechu uczonych, ani też do marzycieli z zawodu, bo — jak nam sam opowiada — założył w latach 1868 i 1869 w Czechach liczne stowarzyszenia spożywcze, zaliczkowe i robotnicze, a przedewszystkiem sławne stowarzyszenie „Ul“ i bank „Slavia“ w Pradze są jego dziełami. Jest to zatem w pełnem słowa znaczeniu człowiek czynu — nie marzyciel, ani doktryner.

Wyznaję więc, że z wielką ciekawością wziąłem się do czytania jego książki, w której rozbiera kwestyę społeczną i podaje środki rozwiązania jej. Nie powiem z góry, zawiodłem się, czy nie — gdyż w każdym razie warto zastanowić się głębiej nad uwagami człowieka, stojącego w samym wirze ruchu społecznego. Wolę zresztą, aby czytelnik, mając przedstawioną sobie rzecz samą, własne powziął o niej zdanie.

Nie rzadkie to zjawisko, że ludzie czynu i praktyki, występując z jakimiś pomysłami, czują potrzebę uzasadnić je filozoficznie i w tym celu osobno układają sobie pewien systemacik. To też w dziełku p. Chl. wyraźnie rozróżnić możemy dwie części: wykłada on nam najprzód swój systemacik socyologiczny, a następnie dopiero uwagi i projekty, dotyczące stanu społeczeństwa.

Zginąłby nędznie człowiek pierwotny,— według niego — gdyby nie podjął walki z przyrodą; tem samem uczynił on pierwszy krok na drodze kultury. Aby walkę tę podjąć, uzbraja się w narzędzia. Narzędziami temi zdobywa on sobie pierwsze *mienie*, które znowu czyni go zdolniejszym do prowadzenia dalszej walki z przyrodą. „Wypróbowawszy zaś w tych zapasach siły, zamiast wytężyć je do najwyższego stopnia przeciwko swej nieprzyjaciółce, woli po części zwrócić je przeciwko bliźniemu.“ Zaczyna się więc *podbój*, powstaje niewolnictwo, które dostarcza człowiekowi nowych sił do walki z przyrodą. Jest to jej drugi stopień, bo już występują nietylko narzędzia, ale i ludzkie siły robocze. „Widzimy więc — powiada autor — zaraz na początku gospodarstwa społecznego, jak człowiek stara się zwalczać przyrodę zapomocą bliźniego.“ Ale spostrzegamy zarazem, że on bliźniego do

*) *Boj o majetek.* Berno 1884. *Der Kampf um den Besitz.* Wiedeń, 1885.

Ojciec Emanuel

przez

P. K. Roseggera.

I.

Ślicznie! przecudownie!“ — woła wędrowiec, gdy stanie na wierzchołkach Alp i nagle ujrzy przed sobą rozległą, dzikowspaniałą kotlinę ze skał. Ale skoro zabawi tylko w tej okolicy kilka godzin lub dzień cały, zdaje mu się, że czyste, rozrzedzone powietrze alpejskie w ołów się przemieniło i przytłacza mu umysł. Wielka puszcza i chłód. Życie, które tu panuje, nigdy nie jest miłem człowiekowi. Przepaście i głębie u dołu w siniejącym zmroku, potoki, spadające ze szczelin górskich po nad urwiska poziome, zuchwale sterczące odłamy ścian, głęboko bruzdami zoranych, stosy kamieni przez lodowce wiecznie coraz dalej ku przodowi wysuwane, zwieszające się cyple lodowe, budzące się za każdym wichru powiewem śniegu i ziemi lawiny — wszystko to z niemą zwraca się groźbą ku czarnym lasom jodłowym, które stoją tam, gdzie kiedyś leżało morze.

Morze zostało zasypane, na gruzach wyrósł las, aby później podzielić los jego. Wśród szarych opok niezmierzone ciągną się pustkowia. Wokoło stromych szczytów krąży orzeł królewski i czyha na gemzy i kozy skalne, wytępiwszy dawniej ród kur śnieżystych. Drobne ptactwo całkiem prawie wymordowane, skowronek tylko wśród gęstych zarośli uchronić się potrafił, a krogulec dzięki szybkiemu lotowi swemu uchodzi przed nieprzyjaciółmi.

Co z roślin i kwiatów mógłby wzejść na czarnej ziemi, utkwionej w szczelinach kamiennych, zabija mróz, wicher i śnieg. Kiedy w dolinach daleko zawieje ożywcze tchnienie lata, wtenczas wokoło twardych ryf i brzegów świszczą tu i huczą niesforne wiatry alpejskie; kiedy na świecie ciepły, użyźniający pada deszcz, tu z ciemnej mgławicy zamieć śnieżna się rodzi.

W tej puszczy skalistej nic spokojnie rozwijać się nie może; w wysoko piętrzących się i daleko sięgających twierdzach górskich mieszka siła i zniszczenie.

A jednak w samym środku tej pustyni, na blado-zielonej powierzchni jednej z gór znajduje się schronienie ludzkie. Składa je kilka domów o grubych murach i okienkach tak małych i głębokich, jak wydrążenie po kuli karabinowej. Dachy przytwierdzone są belkami i ciężkiemi kamieniami, a nad nimi szeroko i rozłożyście, niby twierdze, sterczą małe kamienie. A obok tych murów obronnych stoi również silnie i bezpiecznie zbudowany kościół. Jest on w stylu gotyckim, a smukła wieża biała, niby słup graniczny, wznosi się wśród skał, które wokoło zamykają widnokrąg. Wysokie, wązkie okna domu bożego mocno są okratowane nie z obawy złych ludzi, bo tacy w świątyni niby nie znaleźli, ale orzeł mógłby włamać się przez okno i zniszczyć różnobarwny rząd świec jarzących się przed cudownym obrazem.

Dziwny obraz mieści się w niszy nad ołtarzem. Ma na sobie ozdoby i klejnoty, jakby królowa w koronie; oblicze z kory brunatnej, zupełnie niekształtne, a dwa ramiona sękate wystają mu z obu stron. Postać to przecież wysoce święta, obraz Panny Maryi, zrobiony nie ręką ludzką, jak bożek, ale przez Boga samego stworzony.

Przed wiekami, pewnej soboty wieczorem, przy krzewie gęsto splecionym, znaleziono klęczącą całą trzodę owiec, które tu pasły się na górze. Z pośród zaś sękatych gałęzi krzewu wyrastał obraz ludzki,

walki tej zmusza, a mianowicie zapomocą nabytego (na pierwszym jej stopniu) *mienia*, bo nie posiadający mienia zależnym się stał od posiadającego, słowem ostatni zapanował nad pierwszym i — *wyzyskuje go.* Z czasem jednak i niewolnicy zdobyli mienie przy różnych sposobnościach. „Niewolnik więc rozpoczął walkę o mienie jako o podstawę swej niezawisłości.“ Zwycięska ta walka zmieniła stosunek niewoli na stosunek pańszczyzny, a narcszcie na dzisiejszy najem. „Tak więc walka o mienie była zarazem walką o wolność“— z czego autor wyprowadza ogólne prawo społeczne, że „wolność osobista jest wynikiem mienia.“ Nawiasem niech mi wolno będzie zauważyć, że takich „praw“ autor dość znaczny szereg ustanawia — jak np. że „wolność jest matką indywidualności“ że „indywidualność jest główną sprężyną ruchu ekonomicznego“ że „wolny ruch ekonomiczny sprowadza dobrobyt“ itd. Nie są to rzeczy nowe, ale można się na nie zupełnie godzić.

Nabytą na podstawie mienia wolność zniszczyły wojny zwycięskie, zwłaszcza kiedy „towarzysze,“ bractwa rycerskie jęły się pługa i przywłaszczyły sobie ziemię. W ślad bowiem za „własnością ziemską indywidualną“ poszła jej nierówność — wskutek czego jedni zostali kapitalistami a drudzy zawisłymi od nich robotnikami. Tak więc mienie, które niegdyś było środkiem opanowania przyrody i osiągnięcia wolności, stało się teraz środkiem opanowania ludzi zapomocą przyrody i zawisłości.

Takim wywodem autor dochodzi do przedstawienia ujemnych stron dzisiejszych stosunków ekonomicznych. Te zaś streszcza w następujących słowach: „Mienie, które pierwotnie było tylko owocem własnej pracy i energii, dzisiaj zdobywanem być musi przez nieposiadających dla posiadających, podział zaś tak nabywanego mienia następuje według zasady: jednym trud a drugim plon.“ Któżby zaprzeczył prawdziwości tego zdania? Nie pierwszy Chlebobrad stwierdza ten stan rzeczy — ale chodzi o to, jak temu zaradzić? Otóż autorowi wydaje się to nietrudnem, a w radach, jakie podaje dla zmienienia i polepszenia takiego stanu rzeczy, leży punkt ciężkości jego książki. Rady te na pozór są bardzo proste. „Dzisiaj — powiada Chl. — w parlamentach reprezentowanem jest próżniacze bogactwo: zmieńmy przedstawicielstwo parlamentarne, posadźmy na ławy poselskie *pracujące ubóstwo*— kwestya socyalna będzie rozwiązaną.“ Zmianę tę przeprowadzić można łatwo „przez przymierze monarchii (a właściwie monarchy) z proletaryatem.“ „Takie przymierze jest godłem naszem — woła autor. Monarcha bowiem, wsparty na niem, może łatwo zamachem stanu usunąć konstytucyę i niesprawiedliwe dzisiejsze ordynacye wyborcze, i powołać do urny pracę wydziedziczoną. Ale oczywista — dodaje — że takie rozwiązanie kwestyi socyalnej nastąpić może tylko w monarchiach; dla rzeczypospolitych nie ma ratunku. „Jesteśmy przekonani — powiada on — że kwestya socyalna tylko zapomocą zasady monarchicznej będzie rozwiązaną i że te żywioły społeczne, które dzisiaj jeszcze tendencyjnie, albo też z nieznajomości rzeczy uważane są jako wrogie wszelkiemu istniejącemu porządkowi, okażą się kiedyś jako najsilniejsze podpory monarchicznej formy rządu.“

Przypuśćmy, że ta zmiana, którą autor doradza, dałaby się łatwo przeprowadzić; czy robotnicy w parlamencie rozwiążą kwestyę socyalną? Chl. wielkie pokłada zaufanie w prawodawczej czynności „pracy bez mienia.“ To też największa część jego książki zapełniona jest skreśleniem tego wszystkiego, co owa „praca bez mienia“ w parlamencie zrobi (od str. 69 do 164). To wielkie dzieło reformy społecznej dokonanem zostanie bądź w drodze walki odpornej, bądź zaczepnej. Do odpornej należyć będą środki przeciw ko skupieniu („centralizacyi“) mienia, zwłaszcza utworzeniu stowarzyszeń. Stowarzyszenia, w tym celu do życia powołane, zajmować się będą kształceniem moralnem, wspieraniem ekonomicznem, ochroną wzajemną. Następnie przeciw skupieniu sztucznemu majątków skutecznym środkiem będzie sprawiedliwy podział władzy politycznej, ku czemu ubezpieczy się wolność zgromadzeń, stowarzyszeń i petycyj, zniesie się zupełnie cenzus majątkowy i zaprowadzi się cenzus moralności, dalej przymus szkolny, racyonalny system podatkowy, ograniczenie współzawodnictwa przemysłowego itd. Do walki zaczepnej należeć będzie: bezpośrednie wyposażenie mieniem ubogich, a to nietylko przez nadanie majątku prywatnego osobistego, ale także przez urządzenie własności wspólnej na wzór rosyjskiego *miru* i południowo-słowiańskich „zadrug.“ Takimi to środkami osiągnie się „dobrobyt ogólny i wolność powszechną“ (str. 164).

Zaiste, obraz, skreślony przez autora, jest cudowny; możnaby się zgodzić na proponowane przezeń doświadczenie konstytucyjne, gdyby była nadzieja, że przepowiednie jego się spełnią. Ale tu właśnie wątpliwość, czy „praca bez majątku“ w parlamentach spełni oczekiwania autora? Niechaj sobie w to wierzą optymiści, ja — nie. Mnie się zdaje, że nietylko „walka o mienie“ sprowadziła dzisiejszą nierówność — ale *natura ludzka* pcha bezustannie do tej „walki o mienie“ (co też sam autor po części przyznaje). Ta natura ludzka nie zmieni się, choćbyśmy najuboższych wprowadzili do parlamentu; zmieni się tylko tyle, że zamiast XXów zdobędą sobie mienie YYy; stawszy się zaś posiadającymi, trzymać się będą odwiecznej polityki posiadających. Słowem, mogą się tylko zmienić jednostki posiadające; ani zaś równości majątkowej być nie może, ani też wskutek tego skupienia majątków ominąć nie podobna. Stosunki te są koniecznym wynikiem natury ludzkiej. Nie przeczę, że zatrważające formy dzisiejszego pauperyzmu powinny być usunięte: ale to nie da się osiągnąć w sposób proponowany przez autora. Możnaby bowiem posadzić (dla eksperymentu!) bołyszów na ławy parlamentarne i poruczyć im, jak tego się domaga Chl., między innemi upaństwowienie kolei żelaznych i banków. Ale ręczę, że śród takich zajęć długo bołyszami nie zostaną. Anibyśmy się spostrzegli, jak przyszliby do posiadania i ten cały proces naturalny skupienia majątków zacząłby się na nowo. Takie przewroty nieraz już dokonywały się — być może, że znowu kiedyś się powtórzą, nawet jest to prawdopodobne. Ale nigdy one nie zmienią *rzeczy*, tj. nierówności majątkowej, walki o mienie ze wszystkiemi jej następstwami.

Usunięcie zaś rażących form nowoczesnego peuperyzmu, jeżeli może nastąpić, to, mojem zdaniem, tylko na podstawie stosunków istniejących, przez odpowiednią czynność ustawodawczą *dzisiejszych czynników* ustawodawczych, czy to w monarchiach, czy w rzeczpospolitach. Niechaj sobie te czynniki ustawodawcze reprezentują kapitał i majątek (nigdy inaczej nie będzie!), ale własny ich interes zmusza je już dzisiaj do reform społecznych, czego najlepszym dowodem są prace parlamentów niemieckiego i austryackiego. Oczywiście są to tylko pierwsze kroki; o coraz dalszy postęp na tej drodze trzeba się starać. Ale przewrót taki, jaki proponuje autor, mojem zdaniem, cofnąłby nas znacznie wstecz.

L. Gumplowicz.

---

który księża uznali za Pannę najświętszą i Matkę bożą. Zaniesiono obraz w dolinę i ustawiono w okazałym kościele. Ale nie chciał zostać w dolinie i następnej soboty znów owce znalazły go w krzewie wśród pustyni. Natenczas zrozumiano wolę Bożą i wystawiono kościół i schronienie na wysokiej górze. I niezadługo potem pobożni pielgrzymi poczęli przychodzić pojedynczo i tłumami, zblizka i zdaleka, i u stóp Dziewicy niebiańskiej składali utrapienia swoje i cierpienia wszelakie i bóle serdeczne.

Nieszczęśliwi tylko i opuszczeni przybywali do kościółka wśród dzikich i bezludnych gór.

I samotne miejsce pielgrzymek przezwano: „Maryą w opuszczeniu.“

II.

Kościółek ów należał do bogatego klasztoru, który w obszernej i żyznej znajdował się dolinie. Klasztor miał obowiązek zaspakajać wszelkie potrzeby ustronia i opiekować się niem, oraz zarządzał groszem ofiarnym, który pątnicy składali przed ołtarzem cudownym. Winien był na górę posyłać księdza, który w czasie lata udzielał pielgrzymom darów zbawienia. Razem z księdzem wybierało się zazwyczaj do „Maryi w opuszczeniu“ kilku restauratorów i kramarzy, aby tłumom przybyłym na odpust dostarczyć żywności, obrazków świętych, różańców i innych pamiątek. Na jesień wszakże wszyscy powracali w dolinę; na górze żywej duszy nie było, a w około murów opuszczonych szalały dzikie huragany śnieżne i cudowne źródło Panny Najświętszej ścięte było na lód.

A miał klasztor starych, flegmatycznych zakonników, których zadawalniała całkowicie szklaneczka wina, szczypta tabaki, albo fajeczka u pieca ogrzanego, którzy nic światu nie dawali i nic nie brali od niego i którzy obowiązki swe kościelne spełniali codzień z przyzwyczajenia, na zimno.

Takich ludzi od czasów niepamiętnych wysyłano na górę na pasterzy dusz.

Lecz nadeszła chwila, kiedy ludzie tacy wymarli w klasztorze, kiedy nie stało nikogo, ktoby za dość godnego i cnotliwego się uważał, aby jako nabożny stróż Maryi módz działać w opuszczeniu.

W czasie owym, kiedy kościołkowi na górze groziło niebezpieczeństwo pozostania bez opieki kapłańskiej, w klasztorze żył młody Emanuel. Przed kilku laty dopiero otrzymał święcenia. Człowiek to był rzadkiej gorliwości.

U ołtarza, na kazalnicy, w konfesyonale, czy też nawet w kole towarzyszy swoich — wszędzie posłannictwo duchownego brał tak poważnie, iż zaledwie wystarczały mu cele zakonu, do którego należał i że wynajdywał własne, nowe drogi, żeby uczynić zadosyć głosowi swego sumienia. Lubił samotność, lecz nieraz wyszukiwał ludzi cierpiących. Już samo pojawienie się jego przynosiło pociechę. Pięknym był, wzrostu wysokiego, a w młodocianem obliczu jego słodycz była i godność. Ale stronił od namiotów, w których grali w kręgle jego bracia w zakonie, a gdy siedział w refektarzu i wszystko około niego swawoliło i weseliło się — bo kuchnia i piwnica wogóle nie dopuszczały smutku — ojciec Emanuel milczącym był i znudzonym prawie. Wiedziano wprawdzie, że i on umiał czasami być ożywionym i dowcipnym, wtedy jednak bywał takim z głębi istoty swojej i nie potrzebował dopiero podniecać się winem i herbatą holenderską. Radowało go tylko szczęście duszy; wszystko jedno, czy szczęście to stanowił dobry uczynek, czy zachwyt na widok pięknej, niekrępowanej niczem przyrody.

CZY POZYTYWIZM JEST KIERUNKIEM ANTINARODOWYM?

II.

Nie przeczę, że duch narodowy może być skłonniejszym i zdolniejszym do tego a nie innego kierunku myślenia, że nastrój jego może bardziej odpowiedzieć zasadom idealistycznym, niż pozytywnym, jak tego przykład mamy na niemcach; ale wolno o tem coś mówić w sposób stanowczy tylko na podstawie faktów dokonanych. Wszelkie zaś wywody i twierdzenia *a priori* nie mają w tej sprawie najmniejszego znaczenia. W każdym przecież razie sama ta okoliczność, że usposobienie jakiegoś narodu czyni go bardziej skłonnym do idealizmu, niżeli do innych kierunków myślenia, nie przesądza bynajmniej ani o prawdziwości, ani o zbawienności jego, jak również nie daje prawa do zaliczania innych kierunków do antinarodowych.

Najpełniejszym wyrazem ducha narodowego jest tradycya, jeżeli przez nią rozumiemy całość przeszłego życia społeczeństw. W takim razie należeć będzie do niej: język, literatura, historya i obyczaje. Z tego względu można ją nazwać kapitałem narodowym, moralną spuścizną po przodkach. Pamiętać atoli potrzeba, że nie jest ona kapitałem żelaznym, ale obiegowym—i w używaniu go musimy się oglądać na kursa bieżącej chwili. Co nie nosi na sobie stempla czasu, to musi być wycofanem z obiegu, i jeżeli nie da się przetopić i przerobić, potrzeba je złożyć w muzeum pamiątek. Skoro odziedziczone po przodkach skarby nie wystarczają na potrzeby żyjącego pokolenia, ma ono najzupełniejsze prawo zaciągnąć pożyczkę. Ani pokolenia Rejów i Kochanowskich, ani Krasickich i Kołłątajów, ani też Mickiewiczów i Słowackich nie uważały za zbrodnię zwrócić się w potrzebie do obcych i pożyczyć od nich tego, czego w tradycyi narodowej nie znajdowały.

Tradycya, jako dorobek narodowy, nie jest czemś stałem i niezmiennem. Przechodzi ona różne fazy rozwoju i upadku — a w każdej dobie dziejowej przybiera postać, jaką jej nadają potrzeby czasu i wpływy cywilizacyi. Inną była tradycya czasów piastowskich, a inna jagiellońskich. Tradycya Kochanowskich nie była podobną do tradycyi jezuickich wychowańców z epoki Sasów, jak również tradycya, wyrobiona w czasach Stanisławowskich, różniła się od tej, która się ustaliła pod wpływem literatury okresu Mickiewiczowskiego. Że zaś można tradycyę narodową zmarnować i doprowadzić do największego upadku, dowodzi tego właśnie epoka Sasów, w której z narodowego kapitału, jaki się dostał jej w spuściźnie po Rejach, Kochanowskich i Klonowiczach, nie pozostało nic, coby mogło pójść na zasiłek i wyposażenie pokoleń następnych.

W pospolitem rozumieniu tradycyą narodową są pojęcia i zasady, które zaszczepiono w nas w dzieciństwie, ideały, które przyświecały nam w dniach naszej młodości. Ponieważ towarzyszyły one najpiękniejszym chwilom naszego życia, ponieważ były źródłem najczystszych naszych natchnień i uczuć, skojarzyły się silnie z naszemi wspomnieniami, przeto dziwić się nie można, że mają dla nas szczególny urok, że uważamy je za coś świętego i nietykalnego. Samemi jednakże wspomnieniami człowiek nie żyje. Realizm rzeczywistości wplata w ich pasmo uczucia mniej szlachetne. Ambicya, interes przyczyniają sporo wątku do tego, co stanowi w zwykłem rozumieniu rzeczy uczucia narodowe, tradycyę, we wszelkich sporach o kwestye narodowe. W namiętnem występowaniu przeciwko pozytywizmowi wszystkie te pierwiastki ukazują się mniej lub więcej jawnie. Jeżeli się nie da zaprzeczyć, że pozytywizm obraża umysłowy nastrój pokolenia, wzrosłego pod bezpośrednim wpływem romantycznej poezyi, to z drugiej strony widocznem jest także, iż w całej walce z nim niemałą odgrywają rolę obrażone w swej dumie doktrynerstwo, upokorzone nieuctwo, a w końcu proste lenistwo umysłowe, które przez ryczałtowe potępienie tego, czego nie zna, zwalnia siebie z obowiązku pracy i uczenia się na nowo.

Zastanówmyż się teraz, czy mamy jakieś prawo, opierając się na tradycyi narodowej, uznawać pozytywizm za kierunek antinarodowy?

Jest on antinarodowym — dlaczego? Czy dlatego, że jest wymysłem cudzoziemskim, pierwiastkiem, przyniesionym z zewnątrz? Ależ takimi obcymi pierwiastkami urośliśmy, i dzięki im dotąd utrzymujemy się przy życiu. Obcą dla naszych przodków była wiara chrześciańska i cywilizacya europejska — a przecież im to głównie zawdzięczamy nasz byt narodowy. Duch odrodzenia, jaki przeniknął do nas za Zygmuntów, był wymysłem cudzoziemskim — a przecież, gdyby nie on, nie mielibyśmy ani Rejów, ani Kochanowskich, ani Modrzewskich. Również cudzoziemskim wymysłem była reforma Konarskiego, która podźwignęła naród z umysłowego i moralnego upadku. Sam kierunek Mickiewiczowski, który naszą poezyę i całą wogóle literaturę wzniósł do takiej wysokości, że na długo pozostaną dla nas wzorami, czemże był w początku, jeżeli nie naśladownictwem, nie zaszczepianiem na gruncie narodowym płonki, uszczkniętej w Niemczech i w Anglii?

Jedynym okresem naszego narodowego życia, w którym nic od obcych nie przyjęliśmy, ale żyliśmy zasobem własnego życia, była epoka Sasów, najopłakańsza doba naszych dziejów, doba ciemnoty i zepsucia, z których do dziś nie możemy się otrząść.

Czy może pozytywizm dlatego ma być uważanym za antinarodowy, że nie został wysnuty z wątku tradycyi narodowej? Ależ narodowa nasza tradycya nie posiada w swym wątku ani jednego pasemka, któreby się dało rozwikłać w systemat narodowej filozofii. Były wprawdzie robione pewne próby, ażeby wytworzyć u nas filozoficzne myślenie. Próby te atoli były tak samo poczęte w duchu cudzoziemskim, jak i pozytywizm. Patrycy tłómaczył Arystotelesa, za Poniatowskiego tłómaczono Condillaca, przerabiano Locke'a. Szaniawski pisał w duchu Kanta, Śniadecki i Dowgierd szerzyli zasady filozofii szkockiej, Gołuchowski obrabiał Schellinga, Trętowski zaś, Libelt, Cieszkowski i Kremer byli apostołami heglowskiej spekulacyi, nareszcie p. H. Struwe jest wyznawcą kierunku idealno-realnego. Widzimy więc, że naród nasz nie wyrobił sobie w filozofii samodzielnego stanowiska, że byliśmy w tej gałęzi wiedzy zawsze tylko uczniami obcych, ale uczniami, którzy w wyborze nauczycieli kierowali się jedynie baczeniem na to, jaki z nich jest lepszym, którzy tak samo, jak i my, szli za duchem swego czasu i brali to, co stało przy wielkim ołtarzu. Dzisiaj, kiedy idealizm Heglowski stracił wszelką powagę, śmiesznością byłoby wracać do stanowiska Trętowskiego i Libelta, i z ich zasad snuć wątek narodowej filozofii: podążać znów za wskazówkami p. H. Struwego byłoby to dobrowolnie zamykać oczy na to, co się dzieje w ludzkości. Spirytualizm przeżył się, goni resztkami życia, utrzymując się przy niem dzięki eklektyzmowi, który go łata i podpiera sztucznie. Mając do wyboru między materyalizmem, nowo-kantyzmem i tak zwanym pozytywizmem — wybiera-

---

Oddawna już spodziewano się tego, co pewnego razu opat wypowiedział przy stole.

— Ojcze Emanuelu — zawołał w tonie nieco żartobliwym — czy chcesz zostać proboszczem?

Młody ksiądz odłożył nóż i widelec i takimże tonem odpowiedział:

— Jestem gotów!

— Wakuje posada u „Maryi w opuszczeniu..."

Po tych słowach głośny rozległ się śmiech. Śmiech ten brzmiał jak urąganie biednemu kościołkowi na pustyni. Śmiał się i opat.

Nie śmiał się jeden Emanuel, lecz, gdy ustała wrzawa, przemówił:

— Skoro klasztor naigrawa się z miejsca pielgrzymek, czemuż go nie znosi? Jeśli zaś je utrzymuje, waszego śmiechu szyderczego nie pojmuję. „Marya w opuszczeniu" nie jest zamkiem wielkopańskim, jak wspaniały ów, pełen przepychu dom, do którego mam zaszczyt należeć. Jest ona pasierbem...

— Jest krową dojną!—wmieszał się głos jakiś od wina ochrzypły.

— Dokąd — spytał Emanuel, pielgrzymują wierni o sercach strapionych? Do naszego klasztoru, czy do „Maryi w opuszczeniu?

— A więc dobrze. Jesteś gotów?—przerwał przełożony z powagą.

I zanim opatrzył się młody ksiądz, zamieszkał na wysokiej górze wśród skał i z całego świata nie widział nic, prócz kamieni i chmur. I wszystko, co tu znalazł, było nędzą tylko i wszystko, co przynosili pątnicy z dalekich stron i krajów, bólem było i strapieniem.

Mieszkanie księdza przypominało więzienie.

Przez dwa głębokie, okratowane okienka widać było kawał ściany skalistej a tyle wpadało światła, że przy niem rozróżnić było można gruby siennik i brunatny pulpit do modlitwy i po nad nim drewniany krucyfiks. Inne kąty izdebki nie zawierały nic ciekawego, tylko na jednej ze ścian szaro potynkowanych jaśniał zbiór fajek zostawionych przez poprzedników.

Pożywieniem i gospodarstwem nowego pasterza zajmowała się stara klucznica, która od lat pięćdziesięciu trzech letnie miesiące przebywała zawsze na górze. Stara była prawie tak brzydką, jak obraz w kościele, ale znała dokładnie wszystkie stosunki miejsca odpustowego, warunki pogody i gospodarstwa. Często musiała ona nauczać młodego księdza, jakie zdawna tu w domu i kościele były zwyczaje. Gertruda tylko wiedziała, kiedy potrzeba dzwonić zrana, w południe i wieczorem, w jakich dniach najwięcej przybywa pielgrzymów, z jakich są krajów i mowy jakiej, gdyż przychodzili niemcy, słowianie, węgrzy i włosi. Na szczęście ojciec Emanuel dobrym był filologiem i przemawiał zawsze do pątników w ojczystym ich języku.

Panna Gertruda przecież z wielkiego doświadczenia swego nieskończone odnosiła korzyści. Tak naprzykład utrzymywała, że ojcowie, którzy przed Emanuelem rezydowali na górze, nic prawie nie jedli, co przystoi w miejscu tak świętem, prócz mleka i chleba, a w dni wielkich uroczystości tylko — jeszcze trochę polewki ze słoniną. Ojciec Emanuel nie wymagał, aby mu było lepiej, jak sędziwym jego poprzednikom, zadawalniał się mlekiem i chlebem, podczas gdy dzielna gospodyni robiła sobie oszczędności z mięsa, owoców i wina.

Tylko kiedy w godzinach wolnych młody ksiądz wychodził z fuzyą i wracał z zabitym jastrzębiem, albo orlem nawet (gdyż tylko zwierzęta drapieżne strzelać było

my ten ostatni *) nietylko dlatego, że ma za sobą powagę najznakomitszych mężów, ale i dlatego, że najbardziej odpowiada wymaganiom rozumu i najściślej wiąże się z życiem ludzkiem.

Powie kto może, że pozytywizm nie zgadza się z powszechnym nastrojem naszego umysłu, że podkopuje on zasady, będące wymaganiami naszego życia narodowego. Że sprzeciwia się on kierunkowi idealnemu, który w nas ustalił się pod wpływem romantycznej literatury, a bardziej jeszcze pod wpływem dziejowych wypadków z pierwszej połowy bieżącego stulecia — rzecz to widoczna; ale nie może to jeszcze usprawiedliwić potępiania pozytywizmu. Potrzebaby wprzód dowieść, że romantyczno-idealny nastrój naszego umysłu jest już ostatnim wyrazem ducha narodowego. Że zaś nim nie jest, pokazuje się już z tego, że zostaje on w rażącej sprzeczności z codzienną praktyką życia. Pokutuje on jeszcze w naszej literaturze, myślenie nasze ulega mu nałogowo, automatycznie, ale nad naszemi uczuciami stracił on już panowanie — zadajemy mu kłam co dnia naszem postępowaniem. Jesteśmy idealistami dopóty, dopóki poetyzujemy i rozprawiamy, ale przeobrażamy się odrazu w ludzi praktycznych, gdy schodzimy do życia codziennego. Zapominamy wtedy o wszystkich ideałach, w obronie których z taką zaciętością walczymy na słowa! Sprzeczność ta jest wypadkiem naturalnym. Położenie naszego narodu innem jest dzisiaj, niż było przed kilkudziesięciu laty. Stąd też i potrzeby jego są inne. Idealizm dziś nie przyda się nam na nic. Zresztą smutne doświadczenia przekonały, że hasło jego: mierz siły na zamiary, nie zamiary podług sił — z gruntu jest fałszywem. Ideały, wyrobione przez naszą literaturę, nie posiadają dziś żadnych zgoła warunków bytu. Na dziś potrzeba nam innych ideałów i innego hasła! Muszą one się zgadzać najściślej z warunkami obecnego położenia kraju, muszą zadość czynić wszelkim potrzebom narodowego życia. Ażeby wyrobić sobie nowe ideały, ażeby sformułować jasno nowe hasło — musimy zrobić stanowczy rozbrat z idealizmem, który całą treść życia przenosi w ideę, w marzenie, w złudzenie, musimy myślą zespolić się z rzeczywistością i w niej szukać podstaw dla naszego życia narodowego we wszystkich jego objawach.

*) Naturalnie autor ma tu na myśli szersze rozumienie pozytywizmu, niż bezwzględne hołdowanie Comte'owi. *Red.*

Co się tyczy zarzutu, jakoby pozytywizm podkopywał zasady, na których opiera się nasz byt narodowy, nie ma on najmniejszej słuszności. Nie obala on żadnych zasad, ale daje im tylko inny podkład, inne tłómaczenie. Dziś już nie popłaca ani idealizm, ani mistycyzm — i dlatego to, co dotąd na nich się opierało, przesadza on na grunt rzeczywisty. Prawda, że dokonywa w ten sposób rewolucyi umysłowej — ale rewolucyi, która nie zagraża żadnem zaburzeniem. Jestto proces powolny, zaczynający się od góry, od ludzi wykształconych. Zanim dojdzie on do mas — masy te siłą wypadków życia będą już przygotowane do jej przyjęcia. O moralność zaś nie ma co się obawiać. Na straży jej stoją przedewszystkiem wrodzone instynkty społecznego życia i wszystkie uczucia, które z tymi instynktami skojarzyły się, a następnie religia, z którą pozytywizm bynajmniej nie walczy i najgłośniej uznaje jej potrzebę. Spencer powiada wyraźnie: najgorsza religia jest jeszcze lepszą od żadnej! *).

Władysław Kozłowski.

*) Zdanie to można przyjąć tylko z wieloma zastrzeżeniami. *Red.*

NASZA UPADŁOŚĆ HISTORYCZNA.

II.

Jakkolwiek p. Korzon pragnie zachować najzupełniejszą bezstronność w przedstawieniu smutnych dziejów bankructwa państwowego Polski, to wszakże mimowolnie, bezwiednie może nawet tendencyjność jego poglądów wyłania się coraz widoczniej dla uważnego czytelnika. Wychodząc ze słusznego zresztą założenia, iż pomimo pozornego rozkładu masa narodu posiadała znaczne umysłowe i materyalne zasoby, autor twierdzenie to podkreśla coraz silniej i dochodzi do wniosków sprzecznych poniekąd, ze zdaniem, wypowiedzianem w przedmowie do dzieła i z logiką dziejowych wypadków. Zdziwiony czytelnik dowiaduje się bowiem, że nietylko istniały zasoby obfite, ale że dla zużytkowania ich przedsięwzięto wszystko, co było możliwem. W parze z tem, rozumie się, idzie jeżeli nie rozgrzeszenie, to przynajmniej usprawiedliwienie dla pewnych stron samolubstwa szlacheckiego i zbyt względna ocena działalności finansowej sejmu czteroletniego. Historyk coraz częściej ustępuje miejsca publicyście, który wszakże pomimo zmiany roli uważa za stosowne pociągać przed trybunał dziejowy osoby i ich czyny, i wydawać surowe wyroki. Kiedy dla jednych p. Korzon stał się gorącym obrońcą, który wziął do serca sprawę swoich klientów i zespolił się ściśle z nimi; dla innych — np. dla Stanisława Augusta — jest on nieubłaganym oskarżycielem, odrzucającym z góry możliwość wszelkiej obrony. Zapewne historyk nie ma potrzeby krępować się ubocznymi względami i winien szukać tylko prawdy, ale nie tej oderwanej od życia, doktrynerskiej, lecz prawdy krytycznej, uwzględniającej warunki charakteru, czasu i otoczenia.

Skarbowość polska nie przedstawia dla badacza szczególnych trudności. Od r. 1562 rachunki skarbu Rzeczypospolitej poddane zostały kontroli sejmów, jest więc materyał niezwykle bogaty i wiarogodny. Dotychczas nie ma wprawdzie jeszcze zupełnej historyi finansów Polski, ale istnieją już sumienne monografie Lubomirskiego, Pawińskiego, Rossmana i innych.

Rachunki skarbowe dawnej Polski różnią się od budżetów państw współczesnych tem, że już w XVI wieku (1512 r.) skarb królewski został oddzielony od skarbu rzeczypospolitej i nie podlegał kontroli. Dodać przytem należy, że żaden z nich nie obejmował funduszów edukacyjnych, ani utrzymania urzędów ziemskich, wojewódzkich i powiatowych, i sądowych. Dopiero od 1776 r. i to zaledwie kilku urzędnikom sądowym zaczęto wypłacać pensyę ze skarbu rzeczypospolitej.

Trudno dzisiaj określić jakie dochody posiadali królowie polscy. Można wszakże przyjąć zdanie Lengnicha, że zamożność ich zmniejszała się stopniowo w miarę ograniczenia władzy. Zwolennicy wszechwładztwa szlacheckiego obawiali się bogatych monarchów. „Wilanów jest to sztuka piasku — odezwał się Grzymułtowski — ale i na niej siedziałby jeden szlachcic a na Powsinku drugi.“ Bądź co bądź wszakże, dobra stołowe były obszerne i jakkolwiek dochody były nieznaczne, żaden z królów na niedostatek uskarżać się nie mógł.

Tembardziej uskarżać się nie mógł ubogi stolnik litewski, niespodziewanie na tron wyniesiony. Na zapytanie p. Geoffrin: czy król polski jest bardzo bogaty? odpowiada on, że nie bardzo jednak „przy staranności i przestrzeganiu ścisłego porządku w interesach swoich znajdzie sposób utrzymania się mniej więcej z godnością.“ P.

---

wolno), Gertruda umiała przekonać go, że posilna pieczeń z drobiu jednak niesmaczną nie jest.

Emanuel domyślał się może wyzyskiwania ze strony starej, dla miłego spokoju wszakże nie wymawiał jej tego, nie szukał z nią zatargów, żył dla obowiązków swoich i zasklepił się sam w sobie. I to właśnie gniewało, bolało, zgoryczało zacną dziewicę, że młody ten ojciec tak jest dumnym i w sobie zamkniętym, podczas gdy księża dawniejsi tak byli towarzyscy i rozmowni, że często w górskiem ustroniu zdarzały się czasy nad wyraz wesołe.

W dniach największego napływu pobożnych młody ksiądz czuł się najlepiej; wtedy miał świadomość, że czemś jest i coś może; w konfesyonale pocieszał, na kazalnicy uczył. Chętnie i z zapałem ognistym mówił o Maryi, dziewicy i królowej, którą uwielbiał całą miłością młodzieńczego serca swojego. Z wdziękiem, ogniem i namaszczeniem pobożnego pieśniarza wysławiał jej piękność, kobiecość, godność niebiańską, miłosierdzie i miłość. Dawniej było zwyczajem, że w czasie kazań przed obrazem cudownym nad ołtarzem paliło się sześć świec jarzących; ale Emanuel przed rozpoczęciem mowy swojej kazał gasić płomienie i zostawiać tylko jedną lampkę czerwoną „wiecznego światła,“ której słaby blask urokiem jakimś tajemniczym oblekał obraz niekształtny i brzydki.

Było też zwyczajem na górze, że ksiądz błogosławił i miewał w zapasie świece z czerwonego wosku, które w zakrystyi sprzedawał pielgrzymom. Świecę taką każdy pątnik zabierał do dalekiej ojczyzny swojej, upowszechnioną bowiem była wiara, że świeca poświęcona w kościołku „Maryi w opuszczeniu,“ gdy się ją zapali w godzinę śmierci, zmniejsza trwogę konania i niweczy sieci dyabelskie.

Ojciec Emanuel pozbawił się tego źródła dochodu. Wprawdzie i on rozdzielał świece poświęcone z wielkiego zapasu, jaki zastał, ale pogardził zapłatą za to, co miało stanowić pociechę dla bliźnich w godzinę śmierci.

Często w cichości przypatrywał się postępowaniu pątników, którzy sami nie wiedzieli, jak przed obrazem cudownym mają wyrazić cześć swoją, miłość, żal i tęsknotę.

Przez wiele godzin, jak nieżywi leżeli rozciągnięci na płytach kamiennych; inni stali wyprostowani i rozpinali ręce, jak Chrystus na krzyżu, a znów inni czołgali się na kolanach w około ołtarza. Widział starca, który klęczał w jednym z kątów kościoła i zapalił przed sobą siedm świec jarzących, gdyż siedmiu zostawił krewnych w domu i tyleż chciał przynieść całopaleń dobrotliwej Rodzicielce bożej. Niewiasta jakaś przez drzwi kościelne wtoczyła kamień duży, który z trudem i mozołem przyniosła po stromej górze. Innej ofiary nie miała, bo była biedną, żeby więc zaspokoić swe serce nabożne, kamień złożyła przed ołtarzem.

Potem znów, śpiewając i modląc się, nowe nadciągały zastępy, a chorągwie ich rozwiewały się szeroko wśród wiatrów alpejskich, a krzyże głębokie oddawały pokłony obrazowi cudownemu. I niejeden grosz z brzękiem wpadał do kamiennej skarbony ofiarnej, która wielu obręczami żelaznemi okuta stała u progu. Do wszystkiego jednak potrzebna była spowiedź, komunia i pokuta i ofiarowanie wszystkich myśli i czynów ku czci Maryi.

I gdy tak urzeczywistnili dążenia i pragnienia swoje, pobożni ludziska w powrotną puszczali się drogę i w sercach mieli ukojenie.

(D. c. n.).

Korzon w tem miejscu chwyta oskarżonego za słowo i oświadczenie jego wnosi do protokółu.

Osobisty majątek Stanisława Augusta był nieznaczny, ale oczekiwały go dochody z ekonomij za czas bezkrólewia, wynoszące 1,063,721 złp., skarb rzeczypospolitej" na reparacyę zamku i *meble*" wyliczył 1,255,780 złp., a gdańszczanie za potwierdzenie przywilejów złożyli królowi w podarku 20,000 dukatów.

W ciągu trzech pierwszych lat dochody królewskie wynoszą 18,291,262 złp. Przy gotowem mieszkaniu i dowozie z ekonomij wystarczało to na utrzymanie licznej służby (400 ludzi, oprócz gwardyi i wojskowych), sute wydatki kieszonkowe, pensye dla kochanek i fantazye artystyczne, owszem pozostała nawet przewyżka; jeżeli zaś w końcu trzechlecia okazał się deficyt, to dlatego, że 900,000 złp. użyte zostało na spłatę długów.

Księgi rachunkowe, t. z. kamory nie dostarczają objaśnień, w jaki sposób powstawały długi, koszta jednak budowy pałaców Ujazdowskiego i Łazienek i zagadkowe pozycye „do rąk królewskich" (w jednym 1766 r. 2,195,832 złp.) dostarczą aż nadto wskazówek. Utrzymanie dworu angielskiego kosztowało wtedy 40 milionów, francuskiego w 1749 i 50 — 30 do 36 milionów, a w epoce panowania wszechwładna pani Pompadour 102 miliony złp. Dodać jednak trzeba, że Fryderyk Wielki w tym samym czasie wydawał nie więcej, jak milion talarów.

Otoczenie króla nie kosztowało go zbyt wiele. Podskarbi nadworny Kossowski był pracowity i zabiegliwy administrator. Następca jego Kicki nie dopuszczał się również głośnych nadużyć. Dyrektorowie gabinetu Ogrodzki i Kiciński znani byli z wielkiej uczciwości. Było wprawdzie w orszaku królewskim wielu łotrów, jak Boskamp, powieszony w 1794 r. Fryze, płatny szpieg obcych dworów i inni, ale ci zadawalniali się porękawicznem od negocyowanych przy ich pośrednictwie pożyczek.

Kosztowały króla sporo kochanki i koszt ten wzrasta z wiekiem. P. Korzon przytacza tylko główniejsze, pomiędzy któremi znajdują się takie arystokratki, jak Lubomirska, Czartoryska (ustąpiona Repninowi dla wyjednania przychylnego do cesarzowej raportu) dwie Sapieżyny itd. Najwięcej pieniędzy wyciągnęła Grabowska, podobno żona morganatyczna króla. Czy wszystkie te panie brały pieniądze za swe wdzięki, niewiadomo—ale w ogólnej sumie brały dużo.

Oprócz zwyczajnych dochodów posiadał Stanisław August i nadzwyczajne. W ciągu 7 lat pierwszych otrzymał tajemnie od Rosyi 200.000 dukatów, licząc w to i zasiłki wojenne przeciw konfederacyi barskiej. „Sumienie jego było w niskiej cenie" dodaje p. Korzon, w niższej jeszcze było sumienie dygnitarzy i szlachty, bo wszystkie przekupstwa od 1714 do pierwszego rozbioru nie przeniosły sumy 150.000 dukatów. Ambasada rosyjska, przyzwyczajona do porządku brała rewersy i zapisywała wydatki skrupulatnie.

Po rozbiorze dochody zmalały do 2 milionów, długi zaś wzrosły do 7 milionów złp. Ale na tej katastrofie zarobił w końcu Stanisław August. Delegacya w 1774 r. w zamian straconych intrat przyznała mu 5 milionów rocznej pensyi ze skarbu Rzeczypospolitej; przez „wdzięczność" za zrzeczenie się szafunku starostw, państwo przyjęło na siebie spłatę wszystkich długów króla, który otrzymał oprócz tego 4 starostwa szacowane na 8 milionów złp. Rodzina królewska skorzystała również z nieszczęścia kraju biorąc nieraz podwójne wynagrodzenie za mniemane straty; tylko u skąpego Fryderyka nie udało się niczego wyżebrać. W czasie sejmu delegacyjnego wyłudził król z kasy wspólnej trzech dworów mizerną sumę 6000 dukatów.

Sejm skonfederowany 1776 r. obniżył pensyę do 4 milionów, ale król zamiast 7, żąda już spłaty 9 milionów długu, co mu przyznano. Po 1776 r. tak urządził swe interesy, że otrzymywał 6 milionów rocznie i na rozbiorze kraju nie poniósł żadnego uszczerbku. Dochód ten wzrastał i w 1786/7 wynosił już 8 mil. złp., długi jednak powstały na nowo, i pomimo że do 1792 r. skarb Rzeczypospolitej dopłacił do listy cywilnej 16,500,000 złp. w czasie sejmu czteroletniego nowe długi równały się sumie 13 milionów złp. Zaciągał więc król milionowe pożyczki u bankierów, miewał „tajemne interesy" z niejakim Szmulem, sprzedawał i zastawiał kosztowności, pożyczał od kogo tylko dało się i tym sposobem brnął coraz więcej w długi, których w czasie sejmu grodzieńskiego zebrało się na $33\frac{1}{2}$ miliony złp. A jednak oprócz zwykłych dochodów otrzymał znowu od ambasadora rosyjskiego kilkadziesiąt tysięcy dukatów, i w tym samym czasie, może za cenę swej hańby, wybudował nowy pawilon w Łazienkach.

Po ostatnim rozbiorze trzy dwory sąsiednie wzięły na siebie spłatę długów króla, które wynosiły już 40 milionów złp. Niepoprawny marnotrawca nawet podczas pobytu swego w Grodnie i Petersburgu zdążył nanowo zaciągnąć 7 milionów z górą pożyczek.

Jawność i kontrola sejmów co do obrotu funduszów skarbowych istnieje w Polsce od połowy XVI wieku. Budżet dzielił się jednak na dwie części (podobnie jak w Anglii) stałą, od postanowień sejmu niezależną i niestałą, podległą bardzo skrupulatnym sprawdzaniom.

Od czasów Zygmuntowskich deficyty się zdarzają dosyć często. Za Zygmunta I-go dochody roczne wynoszą 100,000 złotych ówczesnych ($12\frac{1}{2}$ mil. złot. dzisiejszych). Zygmunt August zaciąga już 500,000 złotych długu. Za Batorego dochody wynoszą 835,000 złotych (125 mil. złotych dzisiejszych). Główną pozycyę dochodową stanowi kwarta, wydatki zaś obejmują wyłącznie prawie wojsko i poselstwa. W epoce wojen kozackich wydatki dwuletnie wyniosły zaledwie 5,979,970 złotych. Ciekawe są rachunki z dwulecia 1683—1685, kiedy odbyła się wyprawa wiedeńska, wydatki stanowią skromną sumę 2,673,550 złotych ówczesnych. Dodać należy, że są to cyfry skarbu koronnego, dochody i wydatki zaś Litwy stanowiły mniej więcej trzecią część koronnych. Współczesny Sobieskiemu Ludwik XIV wydawał w latach wojennych po 221 milionów liwrów, ale też pozostawił 2,600,000,000 liwrów długu.

W XVIII wieku utrzymanie machiny państwowej kosztowało coraz więcej. We Francyi w 1749 i 50 dochody obliczano na 335 mil. liwrów, w 1785 budżet dochodzi do 500 milionów, Austrya pobiera 24 mil. guldenów, w 1750 a w 1770—90 milionów, w Rosyi w 1773 wydatki wynoszą 23,600,000 rs. W Polsce tymczasem ogół wydatków nie przenosi 8,000,000 złp. Jestto bardzo mało, ale dodać trzeba, że Polska nie miała długów, więc nie płaciła od nich procentów, ani listy cywilnej, ani kosztów utrzymania sądownictwa i administracyi, nie znała wreszcie wydatków na marynarkę i kolonie. Odpowiednie pozycye stanowią prawie połowę budżetu Francyi.

Niepodobna wyliczyć ile kosztowało utrzymanie instytucyj nie objętych sprawozdaniami podskarbich — nie były one jednak tanie. Sądy były liczne i dużo przy nich ludzi żywiło się ze „skrzynki" tj. opłat za decyzye, wyroki itd., procedura cywilna była bardzo kosztowna. Sądownictwo kryminalne starościńskie kosztowało nawet niezmiernie dużo, bo oprócz taksy pobieranej przez gród doliczyć należy dochód ze starostw, co wynosiło więcej niż cały budżet Rzeczypospolitej. Zarząd skarbowy nie służył również za darmo. Urząd podskarbiego (płatny dopiero od 1736) uchodził za bardzo zyskowny, dygnitarze ci często zrywali sejmy dla uniknienia rewizyi. Bogusław Leszczyński przekupił raz całą izbę poselską pieniędzmi i prezentami, a gdy przy zatwierdzeniu rachunków odezwał się głos: „niema zgody," zawołał zdziwiony. „A który to tam taki... syn, com mu nie dał?" „Kontradycent nie pokazał się, bo wziął i był na regestrze." Poborcy spełniali czynności swe niedbale i brali obfite porękawiczne.

Główną pozycyę wydatków stanowiło wojsko. Za Sobieskiego uchwalono jeszcze po 80,000 ludzi z Korony i 20,000 z Litwy, ale wypłata żołdu odbywała się nieregularnie, wojsko zawiązywało konfederacye i rabowało dobra ziemskie. Pod wrażeniem skutków takiej konfederacyi na sejmie 1717 uchwalono stałą płacę tylko dla 24,000 wojska, ale i te kadry nie wypełniały się, brakowało bowiem zwykle szeregowców. W tym samym czasie we Francyi armia lądowa liczyła 281,699 ludzi.

Ciężar podatkowy wynosił zaledwie 24 grosze ówczesne na głowę, ale rozkład jego był najniesprawiedliwszy. W 1748 r. dochody Rzeczypospolitej składały się z kwarty starej i nowej, kwadrupli, pogłównego żydowskiego, ceł i składnego winnego, a na pokrycie płacy wojsku przeznaczone było pogłówne chrześciańskie i hyberna z dóbr królewskich i duchownych. Żaden z tych podatków nie dotykał szlachty.

W zamian za zwolnienie od ciężarów obowiązaną była szlachta do bezpłatnej służby wojskowej i bezpłatnego sprawowania urzędów. W XVIII wieku jednak pospolite ruszenie było już frazesem tylko. Pomimo to przedstawiciele szlachty wyznawali, że „z mlekiem matki wyssali zasadę, jako nic dawać nie powinni."

Jednym z głównych punktów reform projektowanych przez Czartoryskich było uporządkowanie i zasilenie skarbu. W tym celu na sejmie konwokacyjnym 1764 utworzone zostały Komisye Skarbowe koronna i litewska. Reforma polegała na uchwaleniu cła generalnego (poprzednio szlachta nie płaciła wcale), nowem obliczeniu pogłównego żydowskiego, nie w sumie ryczałtowej, ale według cyfry ludności i sprawiedliwej kwarty na podstawie umyślnie dokonanych lustracyj. Zmiany te podniosły już w 1766 r. dochód roczny do mil. złotych, wydatki zostały pokryte i w skarbie znajdował się remanent w sumie $3\frac{1}{2}$ miliona złotych. Zamieszki podczas konfederacyi radomskiej i barskiej zachwiały pomyślność finansów, pomimo wprowadzenia czopowego i szelężnego (akcyza od wyrobu i opłata od wyszynku trunków) w 1774 r. skarb miał długu 12 a z narzuconemi przez Ponińskiego pretensyami 15 milionów złp. Nie wiadomo, jakie były należności skarbu litewskiego, oprócz tego król wyjednał spłatę swych długów (7 milionów), i kraj uszczuplony rozbiorem przyjąć musiał na siebie długi Rzeczypospolitej zaciągnięte u miast i osób prywatnych. Pretensyj takich zadeklarowano na sumę 129 milionów złp. z których komisarze tylko na 1,142,000 uznali za bezwzględnie słuszne a 6 milionów przekazali do decyzyi stanów. Maluje to najlepiej zepsucie epoki, w której nawet ludzie bogaci, jak np. Brzostowski poskarbi w. lit. zarobić chcieli na nieszczęściu kraju.

Wybawić Polskę z tej politycznej, ekonomicznej i finansowej ruiny miała za zadanie osławiona „Delegacya sejmowa." Na szczęście w gronie jej oprócz zdrajców i służalców — jak np. Ostrowski, Poniń-

ski, Sułkowski i inni — znalazła się grupa ludzi uczciwych, co się tem tłomaczy, że 13 posłów i wszystkich senatorów mianował Stanisław August, który nie był konsekwentnym nigdy a więc i w niegodziwości,—i jak potem powiadał: „z tych rozwalin stawiał przybytki dla cnoty.“ Zresztą Poniński i Sułkowski występowali również pod maską postępu i reform i o ile to nie sprzeciwiało się ich interesom popierali zmiany pożyteczne, wnosili do rozpraw umysł światły i znajomość rzeczy. Jako delegat Komisyi Skarbu kor. zasiadł w delegacyi biegły finansista Fryderyk Moszyński. Reformy subdelegacyi podatkowej sięgnęły głębiej aniżeli Czartoryskich.

W zamian za pogłówne chrześciańskie i stare podymne (znoszone ciągle i wznawiane) zaprowadzono zostało podymne, pobierane ze wszystkich dóbr ziemskich według szczegółowej klasyfikacyi, dalej pół podymne na miejsce hyberny, zwiększone czopowe dawało dochodu około 2 ½ mil. złp., zwiększona została kwarta i pogłówne żydowskie, wprowadzono wreszcie opłaty stemplowe (bardzo niewielkie), prowenieneyę tabaczną (1 mil. złp.), loteryę krajową i wznowiono lub uchwalono wiele dobrych podatków. Duchowieństwo zobowiązało się płacić t. zw. *subsidium charitativum*, ale potrzeba było do tego aż nacisku ze strony obcych rządów (Stackelberga).

Oprócz tego fundusz z dóbr pojezuickich oddany został Komisyi Edukacyjnej. W skutek tego dochody wzrastały, w dwuleciu 1776—8 wynoszą w Koronie 26 milionów złotych a w r. 1786—8 32,2 mil. zł. W tym ostatnim okresie dochody z Litwy dają 11 z górą milionów.

W sferze wydatków wprowadzoną została płatność urzędów, Łupieztwo delegacyi powstrzymał sejm skonfederowany 1776 r. Gospodarstwo Komisyi skarbu koronnego zasługuje na uznanie i cechuje go stałe zwiększanie się dochodów, równowaga budżetowa i szereg znacznych remanentów.

Komisya litewska działała gorzej a raczej zupełnie źle, co jest po części winą Tyzenhauza. Zresztą o skarbie litewskim podaje p. Korzon bardzo szczupłe wiadomości, tłomacząc się tem, że sprawozdań szczegółowych nie miał możności zbadać. W naszych stosunkach musi to służyć za wymówkę.

Z FRANCYI.

Zebranie anarchistów na placu Opery. — Manifestacye z powodu śmierci Vallesa. — Uroczystość Wiktora Hugo. — Pamiętniki policyanta. — Towarzystwo dziennikarzy paryskich.

Najgłośniejszym wypadkiem ubiegłego miesiąca jest bezwątpienia zebranie anarchistów na placu Opery. Dzień to był piękny dla sąsiednich kawiarni, które już od godziny drugiej po południu trzymano w oblężeniu, chociaż wiec był zapowiedziany dopiero na godzinę piątą. Pytanie, czy przypadkiem nie przedsiębiorcy kawiarń rozpuścili pogłoskę o anarchicznym ruchu—ma pewną racyę, bo targ w tym dniu za różnego rodzaju napoje był istotnie bardzo znaczny.

Nie mogą powiedzieć tego samego jubilerzy, którzy widząc różnorodny a liczny tłum, naprawdę się obawiali o swe kosztowne i zawsze pociągające rabusiów towary.

Tłum ciekawych był liczny, a przytem rzec można świetny — *le Tout-Paris* wyległ na ulicę — rozmawiano, śmiano się, pytano co chwila: „Widziałeś pan anarchistów?“

Ale nie łatwa to sprawa manifestacya w tem miejscu i przy środkach, jakie przedsiewziął rząd, który wysłał na plac Opery całą brygadę agentów, a ci pozajmowali wszystkie przejścia, wiodące na plac. Dano im do pomocy szośćdziesięciu kawalerzystów republikańskiej konnej gwardyi, nadto rozstawiono kompanię straży pieszej, która z karabinami na plecach spacerowała po placu i bulwarach.

Z drugiej strony były przygotowane kompanie wojska w koszarach. Jeden pluton gwardyi republikańskiej zajmował merostwo na ulicy Anjou.

Na dwie godziny przed zbiegowiskiem aresztowano dwadzieścia pięć osób, a pomiędzy niemi niejakiego Martinet, który od dwóch miesięcy stał się doradcą anarchistów.

Wielka ta burza skończyła się potłuczeniem wystaw na ulicy Lafayette, zabraniem kilkunastu rewolwerów, pistoletów i noźów, i na pewnej przyjemności ciekawych. Bo istotnie, cały ten ruch, w najbardziej uczęszczanym i eleganckim punkcie Paryża, przedstawiał dużo malowniczości i życia, którego także nie brakło i na drugiej anarchicznej manifestacyi, jaką urządzono 15 b. m. z powodu śmierci Juliusza Vallés, dziennikarza i literata, człowieka ambitnego i burzliwego charakteru, który całe życie politykował, choć nie miał do tego żadnych zdolności. Po skończeniu studyów w lyceum Bonapartego i zapisaniu się na wydział prawny zaraz został aresztowany i zaprowadzony do Mazas, jako podejrzany o agitacyę republikańską. Wypuszczony na wolność został sekretarzem Gustawa Planche, i w tym czasie ogłosił bezimienny pamflet pod tytułem *L'argent*, który mu zrobił pewien rozgłos; później był współpracownikiem w *Revue europeenne* i *l'Epoque* a w roku 1867 założył pismo tygodniowe pod tytułem *La rue*, którego wydawnictwo w ośm miesięcy zostało zupełnie wzbronione z powodu artykułu pod tytułem *Cochon vendu*.

Pracował także w *Figarze* i *L'evenement*, gdzie mu płacono trzydzieści tysięcy (!) franków rocznie, ale miejsce to stracił, bo nie okazał kronikarskich zdolności, wymaganych wszędzie a cóż dopiero w Paryżu!

Po rewolucyi 4 września, a głównie po ogłoszeniu komuny wypłynął na wierzch; ale gdy zdobyto ostatnią barykadę, porzucił Belleville i schronił się do cyrkulu łacińskiego gdzie pozostawał ukryty w szpitalu *de la Pitié*, pełniąc obowiązki posługacza. Podczas tego dzienniki robiły dużo hałasu opisując jego śmierć i szczegóły stracenia; dopiero później dowiedziano się, że zamiast niego rozstrzelano jakiegoś podobnego doń studenta.

Następnie zdołał przejść do szpitala wojskowego, gdzie zostawał pięć miesięcy w charakterze służącego, nie będąc poznanym, ani nawet podejrzanym. Nareszcie jeden z przyjaciół przyniósł mu raz paszport, z pomocą którego Vallés uciekł do Anglii i tam pozostawał aż do ogłoszenia amnestyi. Powróciwszy do kraju, znów zaczął politykować, lecz pisma, których był redaktorem, nie miały szczęścia długo istnieć. Dopiero *Cri du peuple*, organ anarchistów, dosięgnął w ostatnich czasach pewnej liczby prenumeratorów, co pozwalało jego redaktorowi żyć wygodnie i spokojnie.

Albert Wolff, poświęcił zmarłemu duży wstępny artykuł w *Figarze*, doskonale charakteryzujący tego cygana-polityka— jak go słusznie nazywa.

Nie potrzebuję więc tłomaczyć objawów sympatyi, jaką ulica okazała na pogrzebie dla tak znakomitego swego przewodnika. Już od rana tłumy różnego rodzaju ludzi z przedmieścia św. A[illegible]oniego i Montmartre zalegały bulwar św. Michała, tłoczyły się około żelaznych krat ogrodu Luksemburskiego—wesoło gawędząc, dowcipkując, jak zawsze, a od czasu do czasu wybuchając śmiechem lub wykrzykuikami. „Niech żyje komuna!“

26 lutego b. r. przypadła 83 rocznica nestora pisarzów nietylko Francyi, ale całego świata—Wiktora Hugo, dla którego przygotowano najróżnorodniejsze objawy hołdu i uznania. Koroną ma być narodowe wydawnictwo wszystkich jego dzieł; dziennik zaś *Gil Blas* postanowił tego dnia wydać dodatek, mieszczący autografy wierszy lub prozy wszystkich niemal znakomitości już nie we Francyi, ale świata—samo wyliczenie nazwisk zajęłoby kolumnę druku. Dochód z rozprzedaży przeznaczono na rzecz ubogich.

W tym także czasie znany wydawca Calman Levy ogłosił niepospolitą pośmiertną pracę znanego czytelnikom polskim Pawła Saint-Victora *Victor Hugo*. Autor umarł zbyt młodo, aby mógł być umieszczonym obok takich pisarzy, jakimi byli Gautier, A. de Vigny lub Saint-Beuve, ale pomimo to jego krytyka niektórych dzieł Viktora Hugo jest znakomita.

Nie potrzebuję chyba mówić jak świetnem jest to studyum. Namiętny wielbiciel poety, wielki pisarz sam oddał tu najlepszą część samego siebie, i warto widzieć, z jakim artyzmem przeniknął tajemnicę twórczości mistrza. A przytem co za barwność wyrażeń! Wszystkie postacie, które występują w pracach Wiktora Hugo, powstają z tą samą wielkością w żywym języku, jaki posiadał istotnie Paul. Ale uwielbienie nie gasi w P. Saint Victorze świętego ognia krytyki.

„Przeciwko obcym najezdcom — mówi on—Wiktor Hugo jest wzniosły i straszny; ale gdy wybuchła wojna domowa, oburzenie poety zostało rozbrojone. Uznając zamachy komuny, nie śmie pochwalić tych, co je spełnili.

Wielka dobroć, która dodaje wdzięku jego dumnemu geniuszowi, ta miłość dla słabych i cierpiących, która tętni we wszystkich jego pracach, zdaje się chwiać jego sądem. Jego sumienie jest za prawe, aby stanąć po stronie rozbojów, pożarów i grabieży; aby bronić tych, którzy przewracają kolumnę wśród oklasków pruskich. Ale on nie potępia komuny, osłania jej zbrodnie, łagodzi jej okropności, szuka łagodzących okoliczności dla jej ohydnych bezeceństw, i posiada dla niej tak wielką pobłażliwość, że ona wygląda na przebaczenie.“

Dużo tu także robi wrzawy ogłoszenie *Pamiętników policyanta* przez Andrieux, dawnego prefekta policyi — chociaż, jak dotąd, zwolennicy różnych tajemnic Paryża nie znaleźli tam nic osobliwego i nic takiego, coby nie było tutejszej publiczności wiadome.

Jeżeli gdzie, to w Paryżu widzi się jasno, jak na dłoni, że życie nie jest sielanką, snem, marzeniem, ale ciężką i smutną rzeczywistością, zawziętą walką, w której, chcąc coś zdobyć albo przynajmniej nie dać się zagryść przez mocniejszych, trzeba się dobrze uzbroić i to realnie a nie idealnie, poetycznie, jak to robią u nas, nadając wychowaniu więcej pierwiastku estetycznego, niż praktycznego.

Tak np. z tych pamiętników dowiadujemy się, że policya paryska, dla osób, które się odznaczają inteligencyą, majątkiem, albo znaczeniem, posiada rodzaj biografii, składającej się nie zawsze ze szczegółów prawdziwych, ale przeciwnie najczęściej z doniesień potwarczych i błędnych.

Ciekawym także jest szczegół o sumach, wydawanych na tajnych agentów, których rekrutują, nawet pomiędzy osobami „z towarzystwa,“ płacą im dużo sumy, aby żyjąc wystawnie mogli tem lepiej ukryć swe piękne zajęcie.

Prawda, że to trudno pogodzić z pojęciami, jakie my np. mamy o Francyi?

Dziennikarze paryscy, choć im nie grozi śmierć głodowa, postanowili się zabezpieczyć od biedy, organizując *l'Association des journalistes parisiens*, którego cel jest taki:

1) rozdzielanie pomocy członkom na wypadek choroby, lub ich żonom i dzieciom; 2) płacenie kosztów pogrzebu; 3) utworzenie emerytury.

Warunki dla członków: pełnoletność, stałe współpracownictwo od dwóch lat w jednym lub wielu dziennikach, pismach, literackich lub naukowych, wychodzących w Paryżu: wpis fr. 20 i składka miesięczna 2 fr.

Oprócz opłaty, dochód ma być osiągany z koncertów, zabaw i odczytów, z darów dobroczynnych, z loteryi, i nareszcie z procentów od zebranych kapitałów.

Gnotus.

Jasełka lwowskie.

Wiem, że *Prawda* ma stałego korespondenta ze Lwowa, ale nie mogę wytrzymać, żeby stąd nie pisać! Leży przedemną sławny *Przegląd*. Co on „przegląda?“ Nieraz zdaje mi się, że jego zadaniem jest nic nie widzieć lub widzieć wszystko z innego punktu czyli — zezem... Jest to głosiciel „nirwany politycznej,“ dla niego społeczność istnieje chyba o tyle, o ile płaci lub płacić może—prenumeratę. Gdy biją—milczeć, aby nie bili więcej; gdy rabusie obdzierają kogoś—niekrzyczeć, ażeby z litości coś przecie zostawili. Mniejsza tam o politykę, polityka tyle warta, ile p. Masłowski, ale co warta społeczność, śród której podobne *Przeglądy* istnieją?

Poznajmy to pismo.

„Telegramy: (na własnym drucie — muszą być ważne!) Wczorajszy bal polski był najświetniejszym... poloneza rozpoczęły hr. Franciszka Baworowska, hr. Marya Boude, br. Marya Buol—Bernberg, ks. Henryka Lichtenstein, itd. (wyliczono wszystkie). Hr. Marya Potocka, chociaż patronessa, była nieobecna. O wpół do 12 przybył Arcyksiąże Rudolf, grano hymn, udał się na estradę, za nim postępowali: arcyksiąże Karol Ludwik, Ks. Wejmarski itd. Arcyksiąże Rudolf rozmawiał najprzód z hr. Lichtenstein, pardon hr. Taaffo, następnie hr. Wodzickim itd. o 12 odjechał.“

Zobaczmy teraz, jaką p. Masłowski daje radę na naszą biedę materyalną i moralną. „Trzewiki (mają być) zastosowane do koloru sukni, również pończochy. Jeśli suknia jest w dwóch kolorach—co *niezmiernie* (słowa z ewangelii *Przeglądu*) *weszło w użycie*— trzewik i pończocha będą również w obu tych kolorach. Naprzykład: do sukni atłasowej crême ubranej różowymi znakami i koronkami *zahaftowanemi złotemi perłami* (nie rozumiem!) trzewik będzie atłasowy crême z rozetą z koronki ze złotem, pończocha zaś jedwabna ażurowa, blado-różowa. Inna suknia bleuté atłasowa, pokryta tiulem *vieil-or* (nie *viel-or* jak autor wszędzie pisze; szkoda że tu nie można obwinić zecera!) zahaftowanym złotem, *wymaga* (tak!) trzewika w kolorze vieil-or, a pończochy w kolorze bleuté jedwabnej.“ Dosyć tego dobrego. P. Masłowski krzyczy na szowinizm naszej prasy, z wyjątkiem naturalnie prawowierczego *Czasu*, mimowoli tedy trzeba zapytać: Lassoto, a co to? P. M. wie dobrze, jak mają być zastosowane pończochy do trzewików, ale nic nie chce wiedzieć o prostym stosunku zdrowego sensu—do kieszeni. Jeśli chce ktoś głupstwo robić, trudno go odciągać, jak kozę od siana; ale radzić zbytek, zachęcać, zawracać ciasne głowy balami i toaletą w takiej chwili, kiedy każdy poważny człowiek skupia się w sobie i myśli nad tymi ciosami, które—zapewne nie przeszkadzają wesoło się bawić, to—jak się nazywa?

Zresztą program *Przeglądu* przypomina mi aryjkę z operetki „Voyage en Chine,“ w której jedna zwrotka, pobudzająca do śmiechu publiczność, jest ilustracyą zapatrywań autora *Listów do przyjaciela.*

Un caillou,
Deux cailloux,
Trois cailloux,
Quatres cailloux:
Voilà ma méthode,
Facile et commode!

Dodać do tego trzeba jeszcze język galicyjsko-polski, w rodzaju: *dormeuzy, angaranty* itp., a doprawdy nie trudno będzie łudzić się, że... jesteśmy w Chinach.

Co do języka galicyjsko-polskiego, mam jeszcze ciekawy okaz przed sobą: *Rolnik* nr. 3, pismo niby rolnicze, sądząc z tytułu, a redagowane przez profesora W. Tynieckiego. Zdolności tego męża przemówią jego własnym językiem: (patrz artykuł: Produkcya jęczmienia). Ponieważ na całym świecie powiększa się *zużycie* piwa, a *pan jeden* mówił redaktorowi, że Dania ma klimat *zdecydowanie* morski, Galicya zaś *zdecydowanie* kontynentalny, przeto na gruntach *nie wyssanych* jęczmień siać można. Gdyby zaś na wystawach *pojawiały się objekta do porównania* (pod formą jęczmienia) albo *oferowane* nasienie, to *rozumi się...* ale dosyć! Nawet rolników galicyjskich nie godzi się karmić takiemi banialukami.

Gdyby mnie kto zapytał: czem i jaką jest wolność austryacka? odpowiedziałbym mu, że: jest to wolność wzajemnego wymyślania sobie w prasie i wolność radzenia o wszystkiem. Jak tylko pisma przestaną się łajać i rozprawiają poważnie, znajdzie się zawsze ktoś, kto przytoczy odpowiedni paragraf ustawy na mocy której *o tem* pisać nie wolno. Jeżeli komitety, podkomitety, komisye i podkomisye, walne zebrania lub Koła poważnie uchwalą, obudziwszy się, że coś przecie trzeba robić, bo grzech siedzieć bezczynnie, i zaczną kołatać za głośno *do sfer rządowych*, znajdzie się zaraz jakiś minister—rodak, który wytłomaczy, że—trzeba *siedzieć cicho*. I ot tak jakoś wszystko się samo kręci...

Szczególniejszy zaś wstręt ma prawowierna Galicya do „hyporprodukcyi inteligencyi;“ na co powiększać i kształcić rozum, kiedy tak dobrze? Gdy chłopi zaczną się kształcić w uniwersytetach, któż będzie orał i woził? No, a przecież *decydująco* (wyraz ulubiony przez lwowian) nie wypada, aby lada parobek lub fornal był mędrszy... od galicyjskiego hrabiego. Życzliwy rząd długo nie wiedział jakby udobrodziejstwowić Galicyę, aż oto znalazł się minister-rodak, który, znając „ducha“ tutejszego i będąc nieprzyjacielem „hyperprodukcyi inteligencyi,“ oclił gazety... polskie. Mniejsza już o to, że cło każą płacić; są ludzie nałogowi, którzy płacić będą, ale ile to biur trzeba przewędrować, aby zakazany owoc z Warszawy otrzymać! Trzeba dostać awizacyę z urzędu celnego, wnieść *prośbę o oclenie* (tak!), otrzymać pozwolenie, pójść do kasy, zapłacić, wydobyć kwit, wrócić do urzędnika na to wyznaczonego i — nareszcie! Uważamy to jeszcze za dobrodziejstwo, jeżeli urząd pocztowy *sam* ocli i opłatę pobierze przez listonosza, bo przynajmniej nie traci się czasu na chodzenie, a co gorsza na rozmowę z c. k. urzędnikami. Bo też co to są za figury!

Nie wiem, dlaczego, ile razy myślę o austryackiej wolności, zawsze mam ten sam obraz przed oczami. Jest we Lwowie gmach jeden — żółto malowany, a przed nim lew olbrzymi, naciskający łapą swoją maleńkiego jeża; do niedawna były dwa lwy, ale że nadto miały paszczę otwartą, wpakowano jednemu porcyę prochu, która go rozsadziła. Ażeby wszakże ktoś znowu drugiego prochem nie nakarmił, c. k. policya kazała mu pysk zalepić... Otóż, ile razy myślę o wolności galicyjskiej, zawsze mi, jako uosobienie jej, staje ów lew z zalepioną gębą.

Koło literackie wyprawiło huczne wesele — p. Skrzetuskiemu (p. Sienkiewicza). Z początku mówiono, że „arystokracya“ od udziału usuwa się. Wybrano komisyę, podkomisyę, prezesów i zastępców, sekretarza i z tego grona poważną delegacyę wysłano do kilku „hrabianek“ dla zbadania i pokierowania opinią publiczną. Wobec takiego faktu „hrabiny lwowskie“ porozumiały się ze sobą i stanęło na tem, że udział „arystokracya“ weźmie, ale tylko w grupach i orszakach, „rolę hetmanów, króla i dworu niech biorą *inni.*“

Co się działo — niech pióro godniejsze od mojego opisze w nowej jakiej „epopei“ narodowej, dość, że bal Koła rozpoczął się polonezem, na czele którego stał jeden książę a przy ogonie wlokło się kilka „hrabianek;“ potem nastąpiło wesele krakowskie pod przewództwem hr. Platera i hr. Skorupki, jako zwykła dekoracya, a potem — potem — o, czytelniku, czy ty wiesz co się stało? Skrzetuski przyjechał! Do pierwszego kadryla stanęło 120 par — na więcej nie starczyło miejsca. „Polki z za kordonu“ prosiły, aby tę komedyę powtórzono jeszcze w teatrze, bo *żałoba* nie pozwalała wszystkim oglądać tych wspaniałości.

Jakie to teraz wesoło u nas czasy! Coś tam wprawdzie gadają o nas — ale to wszystko głupstwo — tańcujmy, całujmy! Spodziewamy się, że na przyszły karnawał będziemy jeszcze lepiej się bawili; może znajdzie się jaki dobrodziej, który —

Piekielną muzykę zaprosi do grania,
A szlachta niech sobie tańcuje...

F. R.

LIBERUM VETO.

Odpoczywająca mysz i ukojony smutek po Gordonie. — Niespodzianka komisyi konkursowej. — P. Dykas *da capo*. — Wyraz zdumienia. — Kto winien. — P. Dykas nie winien. — Pomnik z dzikim pomysłem. — Spóźniony projekt. — Nasz Arbuez.—Wspomnienia. — Pomnik dla dzielnego przedstawiciela.

Mysz w tiurniurze pewnej damy berlińskiej, przelatująca od pewnego czasu po dziennikach warszawskich, prawdopodobnie teraz odpocznie, a smutek, wywołany objaśnieniem hr. Dzieduszyckiego, że nieboszczyk Gordon nie był i nie polował w Galicyi — musi zamilknąć przed wyrokiem komisyi konkursowej krakowskiej w sprawie projektów na pomnik Mickiewicza. Nagrodzono model p. Dykasa — z lepszych może najsłabszy. Dziwnie nieszczęśliwy człowiek ten p. Dykas! Po raz drugi już jest skompromitowany i kompromituje sędziów. Gdy na poprzednim turnieju nagrodzono jego „Spłoszoną kraskę“ — pracę dość lichą — zerwała się taka burza nagan, że aż musiano uchylić rąbek zasłony obrad konkursowych i objaśnić ich rezultat „przypadkiem.“ Mianowicie, ponieważ głosowano negatywnie (komu nie dać pierwszej nagrody), a o p. Dykasie nikt nie myślał, więc mimowoli mu ją przyznano. Ile przewalono przez niego *jury* dostało ostrzem i płazem ze wszech stron, nawet przybliżenie policzyć trudno. Ale przy tej egzekucyi — licho wie za co! — oberwał także artysta. I oto znowu staje on do konkursu, znowu otrzymuje pierwszą nagrodę i znowu rozpoczyna się chłostanie komisyi oraz jej protegowanego. Czytajmy tylko telegramy gazet. *Kuryer codzienny*: „Kraków wre wzburzeniem. Niezadowolenie zamanifestowało się odwołaniem bankietu dla członków *jury*, zapowiedzianego przez Koło literacko-artystyczne.“ *Kuryer warszawski*: „Publiczność z zadziwieniem i oburzeniem wieść tę przyjęła. Większość pytała: który to projekt, gdzie stał, jak wygląda? — nie zwra-

cano bowiem na niego całkiem uwagi. Niewierni brali tę wiadomość za żart wesoły... Tymczasem była to prawda. P. Dykas uczeń prof. Zumbuscha (jednego z członków *jury*) a wychowanice ks. Czartoryskich, pobił na głowę tych wszystkich, których zdolnościami i wiedzą artystyczną słusznie się chlubimy." Według tegoż pisma Szkoła sztuk pięknych, tudzież Czytelnia akademicka zaniosły protest przeciwko wyrokowi. Matejko przemawia za unieważnieniem sądu. O samym projekcie wszystkie krytyki odzywały się co najwyżej pobłażliwie, a *N. Reforma* nazwała go „niesłychanie konwencyonalnym."

Pisząc przed tygodniem, że „komitet konkursowy będzie miał dosyć sposobności do uwydatnienia swej kompetencyi na pracy jakiegoś nowego p. Dykasa" — miałem przeczucie dobre, o tyle jedynie oddalone od prawdy, że nagrodzono Dykasa nie nowego, ale dawnego. I czemu nagrodzono? Półsłówka i całe słowa doniesień dziennikarskich napomykają o protekcyi. Jeśli to prawda, nie byłoby dość silnych wyrazów na potępienie większości komitetu konkursowego. Jakto, pomnik największego z poetów polskich, pomnik kosztowny, na który z trudem zebrano poważną sumę — kilku panów krakowskich śmiałoby poświęcić dla swojego upodobania i pogwałcić uczucia całego narodu? To przechodziłoby wszelkie granice zuchwalstwa. A jednakże istnieją pewne poszlaki, że tak się stało. Naprzód — jak powiada jedna z gazet — „w Krakowie wszyscy wiedzieli, do kogo każdy projekt należy" a zapieczętowane z nazwiskami koperty były niepotrzebną formalnością; powtóre śmiałość klik naszych jest znaną; potrzecie uparte wyciąganie na wierzch jednego i to dość słabego kandydata zdradza tajemną robotę, wreszcie... czytajmy *Kuryer codz.* „Pomiędzy artystami panuje przekonanie, że nie komisya konkursowa (!), ale dwóch jej członków Zumbusch (niemiec) i Guillaume (francuz) porozumiawszy się z sobą, wydali właściwy wyrok, a większość członków *jury*, uznając powagę tych panów, których mało to interesuje, jaki pomnik będzie stał w Krakowie, orzeczenie ich za wyrocznię przyjęła." W najlepszym tedy razie wypada, że szan. *jury* wzięło się nie do swojej rzeczy, w najgorszym zaś, że jeden z członków zagranicznych nie darmo mieszkał u ks. Czartoryskich, których p. Dykas jest „wychowańcem." Tak, czy inaczej, nie pp. Zumbusch i Guillaume, którzy przecież nie mieli żadnego powodu porozumiewać się na korzyść lichego projektu, ale komisya zawiniła bądź nieznajomością rzeczy, bądź protekcyonizmem.

W całej tej sprawie niewinnym jest tylko — p. Dykas, o ile rozumie się nie padał do nóg ani swemu profesorowi, ani wychowawcy. On wraz innymi stanął ze swą pracą do konkursu, a że go wywyższono nad zasługę i wartość, czyż on temu winien? Po raz drugi już uczuwam dla tego męczennika szczerą sympatyę: być kłodą, przez którą przewraca się rozum grona sędziów, i to kłodą, rąbaną później za kilkaset złotych reńskich — niewesoły los!

Mniejsza o stracone guldeny, o kompromitacyę głów, którym dolane dwie lampki zagranicznego oleju nic nie pomogły, ale czyż na rynku krakowskim stanie rzeczywiście pomnik Mickiewicza z „dzikim pomysłem" — jak się wyraża sprawozdawca *Gazety polsk.* — z fontanną, pomnik, który — według *N. Reformy* — „robią na zapas pracownie kamieniarskie?" Chyba nie, chyba wyznaczony będzie trzeci konkurs, lepiej ubezpieczony od faworów i nieświadomości, przy którym wysłuchane również zostaną głosy krytyki warszawskiej. Kraków już dwa razy złożył dowód, że sam sprawy tej uczciwie i rozumnie załatwić nie może, a gotów byłby po raz trzeci wskrzesić p. Dykasa.

Kur. Codz. donosi, że w ostatniej chwili nadesłano komitetowi rysunek pomnika, „wzruszający do głębi i rzucający widza na kolana" — jak łatwo się domyśleć Matejki. Czemu wielki mistrz zrobił to za późno i zgodnie z warunkami konkursu nie przedstawił w modelu? Może przecież jego powaga usunęłaby raz na zawsze p. Dykasa, oszczędziwszy jemu przykrości a nam jego projektu.

Natomiast można Krakowowi zostawić wybór pomnika dla świeżo zmarłego a dobrze znanego ks. Goliana. Był to bowiem polski Arbuez — na szczęście bez władzy inkwizycyjnej. Miałem zaszczyt być niejednokrotnie przez niego wyklinanym i przyjemność oglądania go w kilku paroksyzmach. Raz w Krakowie stałem obok jakiegoś księdza przed oknem księgarskiem, w którem wystawiona była fotografia pewnej dającej tam koncerta artystki. W tem słyszę po za sobą ostry głos:

— Dobrodziejowi nie wstyd przyglądać się publicznie ladacznicy! Taki przykład wiernym kapłan dajesz! To zgroza, to cynizm!

Obejrzałem się — grzmiał ks. Golian, a przerażony „dobrodziej" umknął jak zmyty.

Innego razu wpadł on do księgarni i zapytał, tłumiąc wzburzenie:

— Ile kosztuje obraz Matki boskiej, wystawiony w oknie.

— Pięć guldenów.

— Proszę pieniądze. Kupuję dlatego, ażeby święty wizerunek uwolnić od sąsiedztwa z *Dyabłem* (pismem) i Darwinem.

Chociaż upewniał pobożnych, że „gdyby się wróciły dobre dawne czasy pierwszy rzuciłby na mnie czarną świecę," lubiłem go bardzo za szerokie wykształcenie i temperament nerwowy, wrażliwy, który czasem przechodził w jakąś histeryę religijną. Gdy na ambonie zaczął rzucać się, akcentować namiętnie wyrazy, ciągnąć za włosy i deptać naukę nieteologiczną, wyglądał jak derwisz, ale szczery. Kiedyś był aktorem prowincyonalnym a niepowodzenia sceniczne popchnęły go do seminaryum; pewne też komedyanctwo w nim zostało. Miał on jednak silne przekonania i talent w głoszeniu ich wielki, a używał wpływu olbrzymiego. Czemu Kraków pozbył się go — nie pojmuję. Ale pomnik mu wystawi i wystawi dobry.

Należałoby również wznieść jeszcze jeden: temu magnatowi galicyjskiemu, który w Monaco przegrał 1,300.000 złr. To dzielny „przedstawiciel," uratował tą ofiarą kredyt swojego narodu. Wprawdzie i u nas w Warszawie ktoś tam zastrzelił dwa konie za 900 rs., które nie miały szczęścia podobać się żonie, ale to nie 1,300,000 reńskich! I nawet nie umiem wam powiedzieć, jak się ten wielki człowiek nazywa, gdyż podobne czyny „krwi niebieskiej" pisma nasze przekazują potomności bezimiennie!

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Zabiegi ziemian włocławskich. — Dobry korespondent. — Uznana parcelacya. Wilk syty i baran cały.— System dzierżaw jako ratunek własności większej. — Znienawidzony konserwatyzm Towarzystwa kred. ziems. — Wspaniała ofiara dla biednych.

Warto przeczytać korespondencyę z Włocławka w *Gazecie warsz.*, ażeby się przekonać, jak gorączkowo energiczniej z ziemian ratują swoje niebezpieczne położenie. Ten chwyta się cykoryi, tamten—chmielu, inny — buraków lub nabiału, słowem rolnictwo przyjmuje chrzest przemysłu. Czy ta przemiana odbywa się w całym kraju — powiedzieć trudno, gdyż cała prasa nasza posiada niewielu tak wybornych korespondentów, jak p. Poraj, umiejący śledzić procesy ekonomiczne i krytycznie je przedstawiać. Istotnie, jeżeli pisma nasze w najważniejszych sprawach muszą szukać prawdy z zawiązanemi oczami, winien temu brak poważnych i ścisłych sprawozdawców z prowincyi. Korespondent polski z kraju — to zwykle albo szlachcic, skarżący się na służebności i rozboje, albo panegirysta teatrów amatorskich i straży ochotniczych. Po za temi czterema rubrykami życia zapisuje się bardzo mało, bo co najwyżej ogólne uwagi filozoficzne jakiegoś księdza lub obywatela o złych czasach i sposobach zbawienia kraju. Ponieważ zaś nie mamy ani troskliwie prowadzonej statystyki, ani żadnych urzędowych sprawozdań, więc zwykle pozostajemy w niewiadomości, w którą tylko od czasu do czasu jakaś lepsza informacya wrzuci jasny promień.

Środki ratunkowe ziemiaństwa pomnożono w ostatnich czasach nowym — radą „zmniejszenia obszarów" własności większej, za pomocą rozprzedaży jej „odpadków." Zasada parcelacyi, która tak niedawno jeszcze budziła tyle wstrętów i sprowadzała na nasze pismo tyle gromów, jest teraz w pewnej mierze uznana jako droga wyjścia bezpieczna i... umajona dobrem ludu. „Chcę ulżenia posiadłości dworskiej ciężaru długów — powiada *Gaz. warsz.* — jest ważnem dla ziemian motywem wyzbywania się ziemi." I chaty na tem skorzystają. Uznano, że „zwiększająca się z rokiem każdym ludność rolnicza, ograniczona w podzielności ziemi, jaka się jej dostała na mocy praw z roku 1864 (nie wolno dzielić osad włościańskich na części mniejsze od 6-u morgów) potrzebuje upustu w postaci zwiększonej przestrzeni rolnej, na którejby nowe osady zakładać mogła. Nie skłonna do wędrówek dalekich, chętnie nabywa ziemię, jaka się w najbliższem sąsiedztwie znajduje. Ponieważ osady włościańskie już i dziś są w znacznej liczbie, z mocy prawa obowiązującego, niepodzielne, a reszta ich, dziś jeszcze możliwych do podzielenia, przestanie być taką po upływie jednego pokolenia, lub po pierwszym podziale, jaki nastąpi pomiędzy spadkobiercami obdarowanych w r. 1864 a żyjących jeszcze włościan, przeto cała usunięta z osad tych ludność, czy to wytworzy się ona ze spłaconych przez współsukcesorów jednostek, czy też na innej drodze, szukać musi nowych siedzib dostępniejszych dla nich, niż owe niepodzielne osady, wynoszące 6—11,99 morgów. Posiadając środki na nabycie zaledwie pary morgów na własność, włościanin musi szukać kawałka ziemi, odpowiedniego do zasobów jego, a tego pomiędzy osadami włościańskiemi nie znajdzie. Nie znajdzie też i dzierżawy, bo posiadacz włościanin ziemi w dzierżawę nie zwykł wypuszczać. Musiałby tedy, chcąc utrzymywać się przy ziemi włościańskiej, zadłużać się bardzo, co przy coraz trudniejszych warunkach kredytowych nie jest dla niego powabnem; albo też pragnąc samoistniej, bez pomocy pożyczki, zakładać gospodarstwo, musiałby się zwrócić ku posiadłości ziemskiej, która ścieśnieniom prawnym nie podlega, i tam szukać albo maleńkiej własności, albo większej od niej dzierżawy. Takie położenie rzeczy musi obudzić ruch ku nabywaniu posiadłości dworskiej, lub dzierżawienia jej w rozmaitej wielkości parcelach."

Ponieważ zaś „obdłużony dwór nie może wyzbywać się znacznych przestrzeni, nie otrzymawszy za nie pewnego równoważnika w gotowiźnie, mało zaś posiadający włościanin nie może dużo ofiarować." więc *Gazeta warsz.* przemawia za „wy-

tworzeniem [illegible] ną *skalę* systemu drobnych dzierżaw" gruntów dworskich. Własność większa tedy zachowałaby wszystkie swoje tytuły i... pozory, oraz miałaby zapewnioną rentę a mała — dostałaby więcej ziemi. Łatwo dostrzedz cały — że tak powiem — kapitalizm tej operacyi, który właściciela gruntu uwolniłby nawet od tej drobnej pracy, jaką obecnie wkłada w gospodarstwo i zamieniłaby go na prostego poborcę procentów. Ale, jak zwykle, dobrym chęciom tego gatunku stoi w drodze Towarzystwo kredytowe ziemskie, posiadające między innymi przywilej, że w razie sprzedaży majątku za raty zaległe wszystkie kontrakty dzierżawne tracą znaczenie. Otóż według *Gazety* — „prawo to szkodliwe krajowi *całemu*, gdyż przeszkadza do ukształtowania się stosunków odpowiednich wymaganiom chwili, powinno jako *niewczesne* uledz zmianie." I dlaczegoż owo prawo jest „niewczesnem?" „Bo o ile wysokość czynszu dzierżawnego odpowiada wysokości rat dzierżawnych (?), interesy Towarzystwa są w zupełności zabezpieczone i przy utrzymaniu rat dzierżawnych." Szczerze mówiąc — nie rozumiemy tego argumentu. Rozumiemy natomiast jeden całkiem jasny i dziwnie charakterystyczny fakt: że własność większa, widząca dotąd w Towarzystwie kred. swoją arkę i wychwalająca przez kilkadziesiąt lat jego konserwatyzm, zaczyna podminowywać jego mocną podstawę—to pożyczką dodatkową, to listami metalicznymi, to wreszcie projektem rozszerzenia „swobody" stowarzyszonych w rozporządzaniu majątkiem. Ostatni ten pomysł ze względu na samą lekkomyślność i marnotrawstwo znacznej części naszego ziemiaństwa jest bardzo ryzykownym. Twórcy wspomnianego prawa — według *Gazety* — „nie byli niecomylnymi," ale przyznać trzeba, że znali oni wybornie naturę szlachecką i dlatego tak je skrępowali wobec Towarzystwa, tak mało, jako dłużnikom, pozostawili im „swobody" i możności dogadzania „wymaganiom chwili." Temu Towarzystwo zawdzięcza wytrwanie w tylu burzach, wysoki kurs swych Listów i moc finansową. Co z niego powstanie po przeprowadzeniu rozmaitych poprawek „omylności" i dopełnień statutu, trudno przewidzieć, ale to pewna, że równolegle z wzrostem „swobody" dłużników spadać będzie siła wierzyciela. Zresztą wyrażamy taką obawę ze stanowiska kapitalistycznego i nie umieszczamy w niej złych wróżb dla kraju, który może sobie wynaleść inną dźwignię ekonomiczną.

Po bucznym karnawale marzenia o rozszerzeniu kredytu są objawem bardzo naturalnym i zwykłym. Do spółki też z dworami rozmyślają nad tą słodką nadzieją miasta, zajęte swojemi Towarzystwami. Że zaś karnawał na prowincyi szedł dzielnie, dotąd przekonywają korespondenci. „Odkąd miasto nasze—piszą do *Wieku* ze Szczuczyna—przybrało charakter miasta powiatowego, mieszkańcy nie pamiętają tak ożywionego ruchu karnawałowego, jak w roku bieżącym. Ani jeden tydzień nie obył się bez zabaw, bądź to w kółkach domowych, bądź w resursie." Między innymi odznaczył się bal straży ochotniczej, przeciągnięty „do 11 z rana dnia następnego." I nędza na nim skorzystała: uczestnicy zabawy bowiem zebrali dla niej 5 rubli, wyraźnie *pięć* rubli i przesłali do redakcyi *Wieku*. To wspaniałomyślność! Jakkolwiek biedny uczeń gimnazyum, który tę ofiarę otrzymał, pokrył nią część swego wpisu, gdybym wszakże był obywatelem miasta powiatowego Szczuczyna, błagałbym na klęczkach uczestników balu, ażeby tym darem nie zawstydzali... świata. Przypuściwszy, że tańczyło i piło wino osób 100—pięć kopiejek na głowę dla ubogich to zbyt dużo, to zbyt upokarzająco dla—innych miast!

A. C.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Warszawa, d. 5 marca.

Zatarg angielsko-rosyjski o Herat, a właściwie o zwężenie grobli, oddzielającej posiadłości azyatyckie stron obu, zaostrzył się groźnie. Doniesienia gazet nie są zwykle wiernem odbiciem stosunków dyplomatycznych, ale są zawsze pewnem znamieniem ich biegu. Otóż *Standard* twierdzi, że Anglia zagroziła w Petersburgu wojną na wypadek posunięcia się rosyan w głąb Afganistanu, a *Daily News* zapewniają, że stosunki między tymi dwoma gabinetami są bardzo naprężone. Prasa rosyjska nie łagodzi sporu, owszem usiłuje go podsycić dowodzeniem, że żądanie Anglii jest bezwstydnem, że ona usunęłaby powód do starcia, gdyby tylko okiełznała emira Afganistanu, że wreszcie Rosya domaga się tylko zapowiedzianego oddawna a dotąd niezałatwionego sprostowania granicy. Ks. Meszczerskij idzie dalej, bo w swym *Graždaninie* kreśli satyryczny obrazek, w którym dyplomacya rosyjska spi i spać chce, a tymczasem ciągle ją budzą rozmaitemi kwestyami. Że tak nie jest, dowodem znacząca odmowa rządu angielskiego odpowiedzi na interpelacyę parlamentarną w sprawie Heratu. Zagadnięty minister pozostawił sobie czas „do namysłu."

Gladstone wraz z swym gabinetem o mało nie przeszedł do... wspomnień. Izba wyższa udzieliła mu wotum nieufności, a niższa odrzuciła je tak słabą większością, że członkowie rządu aż naradzali się, czy by dobrowolnie nie ustąpić. Ale władza jest słodką — Gladstone więc uznał, że jeszcze czas jego ustąpienia nie nadszedł.

Posunięcia na szachownicy egipskiej następują po sobie tak szybko, a tyle tam figur, że już nikt chyba nie wie, gdzie one stoją. Wiadomo tylko, że partya angielska stoi coraz gorzej.

Konferencya afrykańska w Berlinie wreszcie ukończona. Kto tam będzie głową nowego państwa nad Kongiem, w jakiej postaci ten nowy twór się narodzi — zapewne niedługo usłyszymy.

Wojska francuskie w Chinach odpierają ciągle nieprzyjaciela i „narażają go na dotkliwe straty," ale wojny nie widać.

Nakoniec i Szwajcarya wzięła się do anarchistów, którzy za gościnność obiecali jej wysadzić w powietrze kilka gmachów. Aresztowano wielu i wymiatanie odbywa się energicznie. Fakt ten przekonywa, że ci zbawiciele świata już dziś dla niego wszędzie są niemożliwi. Jest to gromada furyatów i maniaków, którzy umieją oddychać tylko powietrzem dynamitowem a drogę wskazywać tylko sztyletem.

Kopenhaga. Spokojna Dania zabezpieczyła się. Skutkiem usiłowań ministra Estrupa, ażeby z Towarzystwa strzeleckiego usunąć liberałów, nastąpiło zbiegowisko przed pałacem króla. Konserwatyści cofnęli swój niedorzeczny wniosek.

Wiedeń. Hausner wypowiedział świetną mowę przeciw centralistom, która spoiła rozłamaną prawicę.

Berlin. Hr. Roman Potocki (syn b. namiestnika Galicyi) zaręczył się z księżniczką Matyldą Radziwiłówną. Narzeczeni byli przyjmowani przez cesarza Wilhelma, któremu zapewne hr. Roman skarżył się na pruskie *ausrotten*. Ba!

Petersburg. Minister spraw wewnętrznych hr. Tołstoj ze względu na zdrowie wyjechał do Liwadyi. Obowiązki jego sprawować będzie towarzysz ministra p. Durnowo.

CUDZE GŁOSY.

PRASA ROSYJSKA.

Swiet, najlepiej zawsze poinformowana w sprawach, dotyczących wyznania katolickiego w Rosyi, z powodu wysłania biskupa Hryniewieckiego wypowiada następujące uwagi:

„Mniemają, że generał-gubernator nie nadużyłby swego pełnomocnictwa, gdyby działał energiczniej w stosunkach z biskupem, wykraczającym przeciw zasadniczym pojęciom bytu państwowego. Generał-gubernatorowie, posiadający takie rozległe prawa, czyż nie powinni sami przyjmować na siebie ciężaru odpowiedzialności i nie zwalać jej na centralną władzę rządową, obarczając ją czynnościami wykonawczemi?"

A dalej:

„Wszakże władza miejscowa musi być pomocnicą władzy centralnej, znać potrzeby państwowe i, wrazie omyłki niepodobnej do przewidzenia albo z innych przyczyn, czyliż nie powinna brać na siebie odpowiedzialności, zdejmując tę odpowiedzialność, o ile to jest możliwem, z władzy centralnej."

Nowoje Wremia w korespondencyi z Wołynia daje następujące przestrogi:

„Główna przyczyna bezsilności prawa z 10-go grudnia 1865 r., jak zwykle, tkwiła w chwiejności naszej polityki. Już we dwa tygodnie po urodzeniu się nowego prawa dopuszczono pierwszy „wyjątek," pozwalający osobom polskiego pochodzenia nabywać majątki w kraju zachodnim. Ów pierwszy „wyjątek" przypadł generał-adjutantowi hr. Rzewuskiemu, a zaraz po nim zrobiono jeszcze toż samo dla kilku innych osób, które również oddały rządowi usługi w służbie, potem rozszerzano „wyjątki" na żony zasłużonych osób, a po jakimś czasie jeszcze i na takie osoby, które nigdy nie służyły i niczem się nie odznaczyły, jak szlachcic Józef Jaroszyński, który tym sposobem w r. 1879 nabył w guberniach podolskiej i kijowskiej 15 tysięcy dziesiatyn. Obecnie liczba osób polskiego pochodzenia, które korzystały z „wyjątków," dosięga 80, z których tylko 22 posiadają w południowo-zachodnim kraju 502,650 dziesiatyn, czyli $12^3/_4$% całej własności ziemskiej, będącej w posiadaniu polaków.

Niektóre z tych osób wyjednały sobie nawet pozwolenia na kupowanie majątków podlegających przymusowej sprzedaży. Tym sposobem ks. Lubomirski nabył majątek, obejmujący 10 tysięcy dziesiatyn, a należący do p. Młodeckiego.

Powiecie mi może, że polacy, którzy otrzymali wyjątkowe prawo, mogli, nie będąc nawet w służbie, zasługiwać na szczególne zaufanie. I ja tak myślałem, ale słyszałem przeciwnie. Tak np. mówią, że niektórzy z nich byli nawet skompromitowani, ale przez manifest wierzbołowski zostali ułaskawieni; co się zaś tyczy p. Jaroszyńskiego, to o nim świadczy niedawny wypadek.

Dwa lata temu, pod pozorem katolickich ostatków, chciał wyprawić bal 1 marca. Dowiedziawszy się o tem wyższe władze, dały mu do zrozumienia, że to jest co najmniej nieprzyzwoite i że wywoła to głębokie niezadowolenie wśród ludu. Jaroszyński odpowiedział, że raz zapowiedzianego balu nie odwoła, a jeżeli lud się zgromadzi, to go rozpędzi. Wówczas kazano mu powiedzieć, że jeżeli nie cofnie balu, to policya i żandarmi będą odpędzali przyjeżdżające powozy, nie dozwalając wysiąść przybywającym. Tylko taki środek mógł nauczyć rozumu godnego zaufania polskiego właściciela majątku."

Warszawskij Dniewnik radzi, ażeby w granicach Królestwa zastosowano przepisy, dotyczące własności ziemskiej w kraju zachodnim.

„Mówimy, rozumie się o zastosowaniu prawa z d. 10 grudnia nie do całego Królestwa Polskiego. ale do tej jego części. która uważa się

i jest *rzeczywiście* co do składu etnograficznego, *języka* i właściwości bytowych ludności taką samą prowincyą rosyjską, jak Wołyń, Ukraina lub Białoruś. Od tego miejsca, gdzie Bug skręca się ku zachodowi i w tym kierunku płynie dalej, aż do połączenia swego z Narwią i Wisłą, nieco na wschód od Sokołowa, Siedlec, Łukowa, Radzynia i Lublina, przez Krasnostaw i Biłgoraj do południowo-zachodniego krańca gubernii lubelskiej i rzeki Sanu przechodzi linia, oddzielająca etnograficzną Polskę od etnograficznej Rosyi."

Tę zapomnianą granicę należy wskrzesić według zdania gazety.

„Lata sześćdziesiąte stanowią epokę w historyi polsko-rosyjskiej kwestyi i naszych poglądów na nią. Wtedy tylko spostrzegliśmy, że wschodnia część gubernij siedleckiej i lubelskiej i południowo-wschodni pas suwalskiej, są to ziemie rosyjskie, zamieszkałe przez lud rosyjski, ale i wtedy zrozumiało to niewielu. Milutyn, Czerkaski i jeszcze inni pojęli to, władze naukowe pospieszyły nadać czysto rosyjski charakter tamtejszej szkole i średnim zakładom naukowym. Ale jeszcze w drugiej połowie siódmego dziesiątka jeden ważny dostojnik, zwiedzając gubernię lubelską, dziwił się, że jakiś włościanin podał mu prośbę w języku rosyjskim. Prawdopodobnie tacy sami dostojnicy nie pozwolili rozszerzyć kompetencyi ukazu z d. 10 grudnia do wszystkich miejscowości, na które należało ją rozciągnąć.

W samej rzeczy, z jakiego punktu widzenia wychodził prawodawca, obmyślając postanowienia, ograniczające prawo osób pochodzenia polskiego co do kupowania majątków w kraju zachodnim? Rozumował on bezwątpienia w ten sposób: Oto kraj z natury swej rosyjski, ale długo przebywał pod obcą władzą, szlachta pochodzenia polskiego i duchowieństwo katolickie także z pochodzenia polskie wycisnęły na tym kraju piętno polonizmu. Unia tam zdeptana, potrzeba dla zupełnego przywrócenia prawdy historycznej zdeptać tam i szlachtę polską, tj. albo przerobić ją na szlachtę ruską (jaką była dawniej po większej części) albo wyprzeć ją tam, gdzie może bez przeszkody być polską i zamienić rosyanami z pochodzenia i ducha. Takie są w istocie motywy do prawa z d. 10 grudnia 1865 r. Ale czyż nie należy tego samego powiedzieć o rosyjskiem „Zabużiu?" Ludzie bardziej systematyczni i przewidujący aniżeli my, niemcy np. nie wygłaszając nad miarę wspaniałego celu: odpolszczyć (raspoliaczyt') cały Kraj Zachodni z 15 milionową ludnością, ale mając cel ten na widoku, skierowali by wszystkie swe usiłowania i środki ku wybrzeżom Niemna i Buga i doprowadziwszy tam sprawę do pożądanego końca, wzięli by się do wypełnienia reszty zadania. Polonizm jest wiecznie burzliwem, buntowniczem morzem a Zachodni Kraj pobrzeżem nizinnem, otwartem dla działań szkodliwego żywiołu, otoczmy go więc trwałym, pewnym wałem i pod tą ochroną przystąpmy bez pośpiechu, ale z nieustającą energią i możliwie najmniejszym gwałtem do wytępienia chwastów polskich na rosyjskiej niwie.

Szkoła rosyjska i rosyjska własność ziemska—oto podstawy tego wału, oto najważniejsze środki do wyplenienia tych chwastów z gruntu rosyjskiego. Pierwszy, tj. szkoła rosyjska istnieje już w powiatach wschodnich gubernij siedleckiej lubelskiej i południowo-wschodnim zakącie suwalskiej, postarajmyż się nareszcie o zaprowadzeniu tam i własności rosyjskiej za pomocą rozciągnięcia na te miejscowości kompetencyi ukazu z d. 10 grudnia wraz z przepisami dodatkowymi.

Skutki takiego postanowienia byłyby podwójnie korzystne, wywołałoby ono bowiem pożądaną zamianę zawiślańskich majoratów na majątki obywateli z Zabużia i południowo-wschodniej części gubernii suwalskiej, o czem mówiliśmy z powodu położenia dóbr majoratowych w kraju tutejszym. Wcześniej czy później instytucyę majoratową wypadnie znieść a nigdy nie będzie chwili przyjaźniejszej z punktu widzenia właścicieli majoratów; z drugiej zaś strony zamiast przymusowej sprzedaży, czyż nie lepiej dla polskiego obywatela z miejscowości rosyjskiej w tutejszym kraju przenieść się do miejscowości, gdzie będzie jak u siebie w domu, wśród swoich i gdzie polska narodowość tem mniej obawiać się może ucisku, im mniej zaprzeczanem będzie panowanie żywiołu rosyjskiego w miejscowościach czysto rosyjskich."

W drugim artykule *Dniewnik* rozwija szczegóły swego projektu.

„Ale oprócz wielkiej własności należałoby ulepszyć (sdobrit') w duchu rosyjskim średnią i małą własność.

„Zabużie" rosyjskie bynajmniej nie jest zamieszkałe przez zwartą ludność rosyjską, przeciwnie jest ona tam pomieszaną z przybyszami polskimi. Jest mnóstwo wsi, w których oba te żywioły mieszkają razem. Widocznem jest, że jeśliby udało się zastąpić włościan polaków i katolików rosyjskimi i prawosławnymi, przyniosłoby to olbrzymią korzyść sprawie rusyfikacyi."

Dla informacyi czytelników uważamy tu za stosowne nadmienić, że według wykazów urzędowych, zamieszczonych w r. z. w nr. 30 *Prawdy* w gubernii lubelskiej prawosławni stanowią 20% ludności (166,000), przyczem tylko w powiecie hrubieszowskim więcej niż połowę ludności 56%), w chełmskim zaś i tomaszowskim jest ich nieco więcej niżeli katolików, ale w stosunku do ogółu ludności 41% i 45½%.

„Nie dosyć na tem—mówi dalej *Dniewnik*—nasze *pia desideria* idą jeszcze dalej. W niektórych powiatach gubernii siedleckiej znajduje się kilka parafij, w których lud waha się między prawosławiem i unią. Bezwątpienia byłoby pożądanem w najwyższym stopniu tych upierających się, szczególniej tam, gdzie stanowią zwartą masę, zastąpić żywiołem pewniejszym pod względem politycznym i religijnym."

W tym celu autor proponuje przesiedlać włościan rosyjskich, nadawać grunty wysłużonym żołnierzom rosyanom, którzyby zapragnęli tu osiąść i wreszcie w zamian emerytury wydzielać posiadłości dymisyonowanym oficerom i urzędnikom.

„Pięknie, powiedzą nam, ale skąd wziąść potrzebną dla tego celu ziemię. W gubernii lubelskiej ziemi rządowej niema prawie wcale (73 morgi), ale na szczęście, niema tam konieczności ulepszać (sdabriwat') stanu włościańskiego. Jest to bardziej potrzebnem w gubernii siedleckiej, ale też za to jest tam więcej gruntów rządowych."

Oprócz tego autor znajduje inne jeszcze sposoby. Przytaczając sprawę włościan wsi Szpikołosy, niedawno osądzoną, rozumuje tak:

„Oto, odsiedzą oni (włościanie) wyznaczoną karę, być może iż nie ośmielą się więcej bić wójta, ale pozostaną zawsze „upierającymi się" i zawsze będzie to żywioł nieprzyjazny, z którego korzystać będą agitatorzy. Czy nie lepiej byłoby, gdyby miejscowej administracyi pozwolono karę więzienia zamienić na wysłanie z kraju, albo raczej nie wysłanie, ale przesiedlenie np. do gubernii ufimskiej, gdzie przesiedleńcom możnaby dać tyle dziesięcin, ile tu mieli morgów, wyborne ziemi a w dodatku setkę lub dwie rubli na zagospodarowanie się. A tutejsze ich grunty pozostałyby dla nowych osadników, dla takich, do których nie ośmieliłaby się nawet podejść blizko katolicka propaganda."

Nowoje Wremia pomieszcza taką z Wołynia korespondencyę:

„Jeszcze za Katarzyny rozdano tutaj wiele dóbr rosyanom, unię zastąpiło prawosławie, sprowadzono czynowników z gubernii środkowych. Przejrzyjcie listę ich z początku bieżącego wieku a przekonacie się, że cała administracya była w rękach rosyjskich a polaków było na urzędzie zaledwie ¼. Weźcie do ręki listę z lat ostatnich, zwłaszcza z przed powstania, a zobaczycie, że znajdowało się na urzędach rosyan prawosławnych zaledwie $^1/_{20}$. Ziemian rosyjskich nie było tu jeszcze w pierwszym dziesiątku lat wieku bieżącego. Propaganda katolicka przed powstaniem była tak silna, że księża wpisywali do ksiąg po dziesięciu naraz włościan prawosławnych, którzy przyjmowali katolicyzm, i ciż księża zmieniali przytem nazwiska z Dymczuków, Pyłypczuków, Ostapczuków, na Bieżeckich, Leszczyńskich, Sikorskich, aby następnym pokoleniom dać dowód, że to polacy i że „wszekłenti moskali skassowali ich papiry."

„Ostatnie powstanie otworzyło oczy rosyjskiemu narodowi i rządowi, i cokolwiekby powiedzieli nasi wrogowie, od tej pory wiele zrobiono dla sprawy rozpolszczenia kraju. Tak było przynajmniej zrazu. Potem jednak rosyanie sfolgowali, a raczej jakby stchórzyli. A tymczasem nienawistna strona podniosła głowę do góry i zaczęła działać jawnie a energicznie; prawa, ograniczające polaków i żydów, poczęto naruszać najoczywiściej a z Petersburga szły wieści, że polacy to siła, z którą walczyć niebezpiecznie. Trudno nie przyznać, że polacy umieli wyzyskać to położenie. Doszło do takiego zuchwalstwa, że w oczy nam mówili jako „wipienziat nas z tiego kraju aż do Taszkentu." Stan rzeczy w kraju północno-zachodnim aż do nominacyi generała Kochanowa podniecał nadzieje naszych polaków.

„Przywódcy polskiego patryotyzmu nie przestawali upominać swoich, aby się nie martwili obecnością rosyan, bo tak było i za Katarzyny, a przecież potem rosyanie sobie poszli. Tak będzie i teraz, mówili: obywatele pójdą sobie do Moskwy, do Tambowa, do Woroneża, a czynownicy do Taszkentu, na Syberyę i na Kaukaz. Niebawem zaczęły obiegać pogłoski o zamierzonem wkrótce cofnięciu wszystkich ograniczeń względem polaków. Oczekiwano w szczególności z dniem na dzień cofnięcia przepisów z d. 10 grudnia 1865. Nadzieje te podtrzymywały polskie dzienniki. Śmiano się też otwarcie z tych przepisów. Zagraniczne banki, przy pomocy polskich oraz przeróżnych kompanij, dawały pieniądze na kupno majątków od zrujnowanych rosyan. Jedna biedna panna, polka, córka zasłużonego wojskowego, dostała pozwolenie na kupno takich majątków i kupiła ich już za pół miliona rubli, odstąpiwszy je potem w dzierżawę istotnym właścicielom. Wogóle sprawa opolaczenia ziemiaństwa szła porządkiem i wsposób systematyczny. Ale nowe przepisy uzupełniające wprowadzą ją na drogę odpowiednią interesom rosyjskim. Zmartwiły też one polaków, ale nie dlatego, iż gotują wstrząśnienie ekonomiczne, tylko, że „polskaja sprawa" utraciła przez nie grunt pod sobą. Ucierpią też ci, którzy dopuszczali się podstępnego obchodzenia przepisów z r. 1865. Witamy również radośnie pocisk wymierzony przeciw rosyjskim ziemianom, którzy pomagali tej sprawie rozmaitemi zobowiązaniami, symulacyami itp. Polacy zapewne będą czynili zabiegi, aby przepisy te zostały cofnięte, ale władza rosyjska nie da się chyba uwieść pochlebstwami polskiej sprawy."

KRONIKA BIEŻĄCA.

Bizantynizm. P. Ludwik Górski pomieścił w *Niwie* artykuł p. t. „Znaczenie i obowiązki większej własności." Artykuł ten zawiera szereg mniej lub więcej rozsądnych uwag, pomimo to kilka pism bije czołem, jak gdyby literatura doczekała się nowych *Przestróg dla Polski*, bo autor zajmuje wydatne stanowisko. Ponieważ zaś potrzebował on aż trzech lat do wydrukowania tej drobnej pracy, więc już trzy lata trwają te wyścigowe pokłony.

Konrad Walenrod, opera W. Żeleńskiego, wystawiona została uroczyście we Lwowie. Z powodu braku miejsca sprawozdanie odkładamy do numeru następnego.

„Ogniem i mieczem" powieść Sienkiewicza przełożył na język rosyjski Bachmatow.

Teatr. Na warszawskiej scenie występuje artystka czeska Pospiszilówna.

Zaprzeczono wiadomości, jakoby ministeryum poleciło utrzymać egzekwowanie należności i kar, zażądanych od właścicieli ziemskich przez izby skarbowe na podstawie wykazów Towarzystwa kred. ziem. (o czem szczegółowo pisaliśmy).

P. Rogoziński ... więc nie jest aresztowany.

Gazeta polska pomieszcza gruntowne wyjaśnienie nowego ukazu o własności ziemskiej w kraju zachodnim.

Dziennik warsz. donosi, że 2 marca przy placu Zamkowym w Warszawie zebrał się tłum robotników, którzy przybyłej policyi oznajmili, że nie mają zajęcia i środków życia. Oberpolicmajster wezwał ich do ratusza; ogółem aresztowano i zbadano 146 ludzi.

W temże piśmie czytamy:

„W numerze 46 gazety krakowskiej *Czas* ogłoszono protokół posiedzenia komitetu ministrów w Petersburgu, odbywanego 11-go (23-go) grudnia 1884 r. w sprawie rewizyi prawa z d. 10-go (22-go) grudnia 1865 roku. Protokół ten, oczywiście w przekładzie polskim dostarczono redakcyi *Czasu* z Kijowa. Możemy powinszować dziennikowi krakowskiemu bardzo zręcznych korespondentów, ale nie możemy powinszować rządowi zachowywania tajemnicy biurowej przez wszystkich jego urzędników.“

Studenci wszystkich uniwersytetów w państwie mają otrzymać mundury; uwolnieni będą od tego obowiązku tylko znajdujący się na ostatnich kursach.

Bibliografia polska. Aer (A. Rzążewski) *Opowiadania i studya*, serya I. Poznań.

— Alth Alojzy Dr. *Opis geognostyczny Szczawnicy i Pienin.* Kraków.

— Bukojemski ks. Cyryl. *Kwestya kalendarza*, Kołomyja.

— Buszczyński Stef. *Słowiańska sprawa, Polska i prawa narodów* (odczyty w uniw. w Bolonii 1884 z włoskiego). Kraków.

— Chotkowski ks. Dr. *Pamiętniki Józefa Siemaszki.* Kraków.

— Gorczyński Adam, *Szkice i obrazki.* Kraków.

— Kalina A. Dr. *Pieśń świętojańska o Sobótce*, rozbiór krytyczny. Kraków.

— Krasiński A. G. ks. biskup. *Słownik synonimów polskich*, wyd. Akad. umiej. t. I. Kraków.

— Mieroszowski S. *Ostatni Piastowie szląscy.* Kraków.

— Ossowski G. *Prusy królewskie*, zesz. 3. (Akad. umiej.) Kraków.

— Starzeński Leop. hr. *Pisma*, serya I (Gwiazda Syberyi, Czaple pióro, Żart królewicza, Trynitarz). Lwów.

— Wojnarowski F. Dr. *O nabyciu praw patronatu* przez kościół macierzysty nad filialnym, studyum z prawa kanon. Lwów.

— Stecki T. J. *Książęce gniazdo.* monografia hist. Kraków.

Gazeta narodowa we Lwowie przeszła w połowie na własność dr. Czerwińskiego, właściciela i dyrektora zakładu wodoleczniczego w Fürstenhofie. Długoletni redaktor *Gazety* p. Jan Dobrzański, usuwa się zupełnie od życia publicznego. Dla poratowania zdrowia wyjechał do Nicei.

Wydawnictwo dzieł lekarskich polskich w Krakowie przyznało nagrodę konkursową imienia ś. p. Romana Kowalewskiego, dr. Krówczyńskiemu za *Syfilidologię*, a dr. Smoleńskiemu za *Hydroterapię.*

Zmarli. Eugeniusz Żelechowski, profesor rusińskiego języka i literatury w gimnazyum stanisławowskiem. Cenna praca nad słownikiem rusińsko-niemieckim pozostała niedokończoną; przygotował bowiem materyał na 43 ark. druku, reszta potrzebuje być obrobioną.

— Kornel Piller, właściciel najstarszej (obok rusińskiej t. z. Stauropigialnej) drukarni we Lwowie, którą odziedziczył po ojcu i dziadach. W dziejach ruchu piśmiennego Galicyi zdobył sobie Piller zasłużone imię, popierając z gorliwością i prawdziwemi nieraz ofiarami niejedno wydawnictwo wśród stosunków bardzo nieprzyjaznych i ogólnego uśpienia.

— Dr. Leopold Damrosz, polak, rodem z Poznania, muzyk, od r. 1877 dyrektor opery nowojorskiej, w Nowym-Yorku.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Wacł. N. N. Musisz Pan być bardzo młodym, bo inaczej po grzecznej odpowiedzi naszej nie byłbyś ani tak natrętnym, ani tak zuchwałym. Właściwego użytku z korespondencyi nie robimy, z wszelkich niedojrzałych „uwielbień“ kwitujemy, a zakończenie sporu z Panem pozostawiamy komuś, kto może zajmie się kiedyś poprawą pańskiego wychowania.

A. K. Utwór pański posiada jedną wielką wadę: pomysł zużyty i nadużyty, oraz jedną zaletę: zręczność opowiadania. I w takiej wszakże postaci rodzi się często talent.

St. R. w Pet. List wasz sprawił nam wielką przyjemność i wiele nas nauczył. Dziękujemy.

St. Lipk. w Bobr. Osobnej nie ma, ale jest w dziele: *Histologia i histochemia* — według Freya i Köllikera, tłom. dr. Witkowski, Warsz. 1870 (Bibliot. umiej. lek.) W histochemii mieści się właśnie fizyologia chemiczna.

G. Ż. w Warsz. Książka zyskała duży rozgłos i dlatego zamieściliśmy obszerniejsze z niej sprawozdanie. A że ona w wielu ustępach jest niedorzeczną—to nie nasza wina.

K. Wr. Szczegółowy obraz kraju i jego historyi znaleść Pan może w dziele R. Buchty *Der Sudan u. d. Mahdi.* Stuttgart 1884.

W. W. w Kielcach. Bardzo wiele niezłych: Molina (k. 80), bezimiennego (w Toruniu k. 60), a może najlepsza T. Sikorskiego (k. 85). Naturalnie są to zwykłe podręczniki.

Dr. z Kc. Poznawszy zasady gramatyki czytać i czytać ze słownikiem wzorowych pisarzy.

A. Rut. w Wilk. Jaka gramatyka i który tom Brandesa? *Światełko* rs. 1 kop. 80, *Etyka* rs. 2, *Słownik rosyjsko-polski* rs. 5 kop. 25, Metoda (2 tomy) rs. 2 k. 60. Żądanego dzieła historycznego nie znaleźliśmy, ale jeszcze poszukamy.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 23. Дозволено Цензурою. Варшава, 22 Февраля 1885 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.